



Kulturobranie  
Lektury na lato  
Miłych wakacji





# **Polsko-niderlandzkie “Kulturobranie 2024” w Nowej Róży**

**1-4 sierpnia 2024**

**Nowa Róża 2**

**W lesie bez barier i w Olenderskim klimacie: plener malarski, warsztaty filmowe, poezja i muzyka, wiklina, ozdoby kwiatowe i twórcze niespodzianki.**

**Wernisaż prac i prezentacja zbiorów  
uczestników Kulturobrania  
w niedzielę, 4 sierpnia o godz. 15:00.**



**Fundacja "hOlendry"**

organizator: Fundacja "hOlendry" - e-mail: [nowaroz2@gmail.com](mailto:nowaroz2@gmail.com), tel.: +48 603 801 725

Partnerzy wydarzenia:



Zadanie dofinansowane ze środków:



Patronat Honorowy:



Burmistrz Nowego Tomysła

Starosta Nowotomyski



**ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ**  
Redaktor Naczelna

Nie tak miał się zaczynać ten artykuł wstępny...Wiadomość o śmierci Jerzego Stuhra przyszła nagle. I chociaż zmagający się od lat z chorobami aktor wspominał o swoich problemach, napisał o tym książkę i wspierał pacjentów onkologicznych, to jednak odszedł niespodziewanie i...za szybko. W pełni sił twórczych, ponoć marzył o śmierci na scenie (tak odszedł Tadeusz Łomnicki przed premierą Króla Lira). Jerzy Stuhr grał ostatnio w Teatrze Polonia w spektaklu „Geniusz” i...może tą rolą chciał się pożegnać z widzami?

Scena Polska w Holandii straciła prawdziwego geniusza sceny, dramatycznej, filmowej i tej rzeczywistej, sceny życia. Poznałam Jerzego Stuhra na początku lat dziewięćdziesiątych. To dzięki niemu i „Kontrabasście” zaczęła się nasza znajomość, a może też trochę przyjaźń...?

Lubił do nas przyjeżdżać, czuł się dobrze wśród publiczności polsko-holenderskiej. W dniu 9 lipca pierwszy napisał do mnie Ron van den Engel, stały widz i współpracownik Pools Podium: „Gecondoleerd met het verlies van onze vriend”. Potem dzwoniło wiele osób, poruszonych informacją o śmierci Jerzego Stuhra. Odszedł ktoś, komu Scena Polska wiele zawdzięcza...

Wspaniały aktor i człowiek, zostawił w Holandii wielu przyjaciół trwale wpisując się w historię polskiego teatru i filmu, dzieląc się z naszą publicznością swoją twórczością i zachwycając wysoką kulturę osobistą. Szanował swoją publiczność, a publiczność Go kochała. Dopóki istnieje Scena Polska, będziemy dzielić się wspomnieniami ze spotkań z Jerzym Stuhrem i wspólnie oglądać filmy w których zagrał niezapomniane role. Pozostawił po sobie ogromny dorobek twórczy, był i będzie z nami na zawsze.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ



**Nowa strona internetowa: [www.scenapolska.nl](http://www.scenapolska.nl) – ZAPRASZAMY!**

## Spis treści

<b>MAŁGORZATA DOSZCZAK</b> „Kos” – wielki film o narodzie nieprzeznaczonym do wielkości.....	4
<b>MAŁGORZATA DOSZCZAK</b> Powrót do pisania .....	5
<b>KONRAD J. ZARĘBSKI</b> Szekspir na Podhalu .....	6
<b>ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ</b> Polsko-niderlandzkie Kulturobranie 2024 w Nowej Róży .....	7
<b>KONRAD J. ZARĘBSKI</b> Czy to jeszcze nasza bajka?.....	7
<b>JACEK KAŁUCKI</b> Najciekawsze są kulisy .....	8
<b>MAREK JEZIORSKI</b> Most o trzech przęsłach Ismaila Kadarego w polskim przekładzie .....	10
<b>GRAŻYNA GRAMZA</b> Lektury na lato, wybór subiektywny.....	11
<b>ANNA KOS</b> Elżbieta Dedek – genialna pianistka, wirtuoz muzyki Fryderyka Chopina.....	12
<b>JERZY SKOCZYLAŚ</b> Genealogia .....	13
<b>MARZENA DRZEWIŃSKA-SOON</b> XV Festiwal Biegowy w Piwnicznej-Zdroju.....	14
<b>MARZENA DRZEWIŃSKA-SOON</b> „I ty możesz zostać wolontariuszem” .....	15
<b>ALICJA GRYGIERCZYK</b> Samotność z wyboru .....	16
<b>MAREK GRĄDZKI</b> Lato pełne słońca .....	17
<b>ALEK SILBER</b> Inne drzewo .....	18
<b>ALEK SILBER</b> Pocztówka z Warszawy .....	21
<b>CEZARIUSZ GADZINA</b> The Voice of Polonia 2024.....	22

SCENA POLSKA | Nr 2(118)/2024 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

[www.scenapolska.nl](http://www.scenapolska.nl) | [www.facebook.com/scenapolska](https://www.facebook.com/scenapolska)

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mамет | Mac Map

OKŁADKA: fot. Wojciech Teleszyński

DRUK: Drukarnia DS Marcin Witecki





# „Kos” – wielki film o narodzie nieprzeznaczonym do wielkości

Polska Wiosna Filmowa 2024



## MAŁGORZATA DOSZCZAK

Polska Wiosna Filmowa po raz jedenasty. Dla mnie powrót na festiwal po kilku latach. Choć z czasem było krucho, nie mogłam się oprzeć, zwłaszcza pięknemu plakatowi reklamującemu wydarzenie. Niestety musiałam dokonać wyboru: tylko jeden seans. Padło na film „Kos” w reżyserii Pawła Maślony. Wybór dokonany w ramach optymalizacji czasu właściwie przypadkowo, bez dogłębnego researchu. Po prostu znając Organizatorkę założyłam, że nie ma możliwości, że film będzie tyle jaki. W ramach Wiosny nigdy się do tej pory nie rozczarowałam.

20 maja pojawiłam się w Utrechcie bez żadnych oczekiwań. Wiedziałam tylko, że to film historyczny, a jego bohaterem jest Tadeusz Kościuszko. I że został obsypany nagrodami. Początkowa scena dość typowa: szerokie ujęcie, konny pościg za zbiegłym chłopem w łachmanach, coś jakby „Potop”. Nagle pojawia się dwóch głównych bohaterów: Kościuszko i jego przyjaciel z Ameryki, były niewolnik Domingo. I odtąd już niewiele jest elementów charakterystycznych



Slachtstraat Filmtheater Utrecht

dla polskich produkcji historycznych. Los dwóch głównych bohaterów wpisuje się w konwencję westernu: podróżują i walczą z całym złem świata, które wykpięone jest na wszelkie sposoby. Są zupełnie różni, ale w tej różności kompatybilni i związani na śmierć i życie.

Cechy charakterystyczne „Kosa” to suspense, przemoc i czarny humor rodem z Quentina Tarantino. Widoczne zwłaszcza w części dziejącej się we dworze w ramach najwspanialszej stypy. Niesamowity zestaw moich ulubionych aktorów: Jacek Braciak,

Agnieszka Grochowska i Robert Więckiewicz, w kameralnych scenach rozbawiają do łez, mimo że to przecież dramat a nie komedia.

„Kos” wpisuje się doskonale w nurt przedstawiania okresów historycznych za pomocą nowoczesnych środków. Fabuła to pęczek pojedynczych sytuacji, zresztnie połączonych poprzez udział bohaterów. Wydarzeń historycznych film nie przedstawia, jest bardzo luźno oparty o fakty. Historyczne są kostiumy i dekoracje. Ale już język uderza kontrastem dzisiejszej korporacyjnej nowomowy i sformułowań stylizowanych na epokę. Niektóre teksty przejdą pewnie do kanonu kultowych. Zwłaszcza te świetnie, opisujące polskie narodowe przywary: „Oj, panowie, wy to chyba tych wojen nie chcecie wygrać” – rotmistrza Dunina. Język i spojrzenie na szlachecko-chłopską rzeczywistość przypominają jako żywo netflixowy serial „1670”. I podobnie jak w filmach produkowanych przez tę platformę słyszymy tu kilka języków. Polacy mówią po polsku, Rosjanin po rosyjsku, a Amerykanin po amerykańsku. Język, którym mówi Domingo (Jason Mitchell), afro-amerykański przyjaciel Kościuszki, były niewolnik z plantacji na Południu, to również kontrastująca z historycznym schematem i pochodzeniem bohatera współczesna północnoamerykańska angielszczyzna, typowa raczej dla nowojorskich policjantów.

Nie wszyscy widzowie lubią tę formę. Ja osobiście jestem wielką fanką takich



11. Polska Wiosna Filmowa

szokujących kontrastów. Podoba mi się również przedstawianie historii w sposób zrozumiały dla młodych osób. Wreszcie jestem wyznawczynią teorii o mentalności folwarcznej Polaków, będącej konsekwencją wielowiekowego panowania systemu feudalnego. Filmy takie jak „Kos” świetnie tłumaczą utratę polskiej państwowości i rządzące narodem do dziś reguły mentalne. Porównują Polskę szlachecką i chłopską (z małą domieszką mieszczańską) i brutalność relacji pomiędzy nimi. Niedomagania szlacheckiej „demokracji”, bylejałość gospodarki i organizacji tak państwa, jak i folwarku. Przekonanie o własnej wyższości panów w kontuszach i brak minimalnej pewności siebie członków najniższej klasy. „Kos” to dość wyczerpujący opis narodowej niemocy, odzierający nas ze złudzeń wspaniałej sarmackiej Polski (swoją drogą prowokujące pytanie stawia Dunin: „Dlaczego

Boga i honor stawiacie zawsze przed Ojczyzną?”). Czy tylko tej osiemnastowiecznej? Ja widzę zaskakująco dużo odniesień do współczesności. Niesamowita arogancja tych, co przy władzy i pieniądzach i ich pogarda dla słabszych. Totalny brak pewności siebie maluczkich i ich równie silne pragnienie nie tyle lepszego życia, co zemsty na bogaczach nawet za cenę życia. W obu grupach większość, widząca tylko czubek własnego nosa, w rezultacie czego żadna większa akcja udać się nie może. Silne i prawie są głównie kobiety, czasem tylko trafi się pojedynczy bohater, który chce dobra wspólnego i próbuje zachęcić do współdziałania. Lecz jego zapał powoli słabnie... Czy to nie nasza rzeczywistość polityczna? Cóż, historia lubi się powtarzać, a my niekoniecznie uczymy się na błędach. „Nie każdy naród przeznaczony jest do wielkości” mówi Dunin. Smutne to wnioski. A mimo to film

nie jest przygnębiający. Wręcz przeciwnie – mnie nastroił bardzo pozytywnie.

Z seansu wyszliśmy rozbawieni i usatysfakcjonowani. Podobnie jak większość publiczności, którą w tym roku stanowili głównie Holendrzy. Przynajmniej w Utrechcie, gdzie kameralne kino Slachtstraat Filmtheater pomogło w promocji. To spora zmiana w stosunku do lat wcześniejszych, gdy na Polską Wiosnę przychodziła prawie wyłącznie Polonia. Wspaniale, że polska sztuka znajduje holenderskich odbiorców. Z kolei polscy mają dziś większy wybór i nie wszyscy pozostali przy Scenie Polskiej. Szkoda, bo ciągłość i kontynuowanie dobrych tradycji są ważne. Dlatego cieszę się, że miałam szansę wrócić i znów chłonąć polski film w doborowym towarzystwie. A po seansie odbyć długą rozmowę z organizatorką. Zosiu, dziękuję! Oby tak dalej, do zobaczenia na Polskiej Wiosnie Filmowej 2025! ■

# Powrót do pisania

## MAŁGORZATA DOSZCZAK

Siadam do pisania tego tekstu z pewną nieśmiałością... Od dawna nie napisałam ani słowa. Ani do Kwartalnika, ani dla żadnego innego portalu, ani nawet na moim własnym blogu. Dlaczego? Trudny okres w życiu rodziny i nadmiar pracy zawodowej wepchnęły mnie w tryb permanentnej aktywności. Stosowałam podstawowe strategie przetrwania: działaj (walcz) i nie myśl, nie czuj (zastygnij/udawaj trupa). A w konsekwencji moja kreatywność została całkowicie uśpiona. Nie ma przecież czym dzielić się z czytelnikami, kiedy nie kontemplujesz swoich własnych przeżyć i wrażeń.

Myślałam, że już nic nigdy nie napiszę. Oczywiście poza motywującymi mailami do mojego zespołu. A jednak! W końcu widzę światelko w tunelu: przede wszystkim udało mi się przepracować część emocji,

mam też odrobinę więcej luzu i powoli wracam do trybu kontemplacyjnego. Stać mnie już na to, żeby przez wiele nocy wypatrywać zorzy polarnej i cieszyć się jak dziecko, że w końcu ją zobaczyłam. A kiedy wstaję, to pierwszą rzeczą, jaką robię jest oglądanie wschodu słońca. Polecam mgły nad polderem o wschodzie słońca – magiczne momenty tylko dla tych, co wstają o 5:00. Znowu więcej fotografuję i zaczynają mnie świerzbic palce nad klawiaturą. A dodatkowo do mojej głowy docierają wypowiedzane tęsknoty czytelników. Zachęty do pisania słyszę w domu. Od czasu do czasu pojawiają się wiadomości od fanów mojej grafomanii na blogu. Ktoś obdarzył mnie nawet takim autorytetem, żeby specjalnie przyjechać z Polski z rodziną w celu zwiedzenia najpiękniejszego miasta Holandii (Amersfoort) i poznania mnie osobiście. A ostatnio jedna z moich pracownic entuzjastycznie skomentowała styl moich

maili do współpracowników – czego się nie robi, żeby zrealizować projekt, którego zespół nie akceptuje. I tak parę ziarenek zaczęło kiełkować.

Chociaż od dawna nie uczestniczę też w kreowaniu życia polonijnego, obserwuję z przyjemnością, jak świetnie mają się inicjatywy, z którymi kiedyś byłam związana. Między innymi Scena Polska. Po kilku latach pojawiłam się więc na Polskiej Wiosnie Filmowej. I w końcu jest przełom. Zobaczyłam, jak ważna i dobra jest ciągłość. Skoro Zosia może kontynuować ten projekt mimo, że wyzwania są coraz większe, skoro Scena Polska wciąż jest wydawana, to i ja mogę kontynuować moje dobre projekty.

Więc podziwiam te wschody słońca, naturę i ludzi, którzy robią wspaniałe rzeczy. I tęsknię coraz bardziej do tego, żeby dzielić się moimi emocjami. Dlatego siadam do pisania, chociaż z nieśmiałością... ■



Filmhuis Lumen Delft





# Szekspir na Podhalu



**KONRAD J. ZARĘBSKI**

Jak każdy dobry film górski – dość specyficzny gatunek, który swoje najlepsze lata przeżył około stu lat temu, jakkolwiek i później miał momenty wspaniałe, by wspomnieć choćby „Krzyk kamienia” (1991) Wernera Herzoga czy „Czekając na Joe” (2003) Kevina Macdonalda – „Biała odwaga” (2024) Marcina Koszałki jest dziełem wielopłaszczyznowym.

Koszalka, dokumentalista i operator a także reżyser-fabularzysta wywodzący się z Krakowa, doskonale potrafi fotografować góry. Wie też, że naczelnym tematem filmu o górach, jest nie tylko surowe piękno krajobrazu, ale zmagania człowieka z naturą (dość wspomnieć sławną odpowiedź sir Hillary’ego, pierwszego zdobywcy Mt Everestu, na pytanie, dlaczego idzie w góry – bo są). Jego bohater jest specjalistą od wspinaczki ekstremalnej – bez liny, to sposób na poczucie się wolnym.

Tak naprawdę, „Biała odwaga” bohaterów ma dwóch – dwóch braci zakochanych w jednej dziewczynie. Ona wybiera młodszego, ale z woli rodziców musi wyjść za starszego, co staje się przyczyną rodzinnego konfliktu – drogi braci rozchodzą się i właściwie już nigdy się nie zejdą. Między innymi dlatego, że młodszy spotyka niemieckiego alpinistę i antropologa, który twierdzi, że górale są potomkami plemion gotyckich, czego dowodem mają być parzenie – góralskie wzory identyczne jak starogermańskie runy. W czasach pokoju brzmi to jak fajna bajka, ale za chwilę wybu-



cha wojna i antropolog zjawia się w Zakopanem w mundurze Wehrmachtu i zaczyna mierzyć i fotografować góralskie dzieci.

W tym momencie opowieść o braterskim konflikcie przecina się z historią – i to tą przez duże H. Wprawdzie żadne z pokazanych przez Koszałkę zdarzeń nie jest historycznie udokumentowane, ale wiadomo, że podobne wydarzenia miały miejsce. Nie padają żadne nazwiska, mówi się wprawdzie o hitlerowskim gubernatorze, ale nie o Hansie Franku, mówi się o góralskiej kolaboracji, ale też bez nazwisk. Chodzi o tzw. Gorale-nvolk, hitlerowski eksperyment społeczny, mający na celu wyłączenie górali ze społeczności polskiej. Ilu dało się uwieść hitlerowskim obietnicom? Mówi się o maksymalnie 300 dorosłych, którzy ubiegali się o kenkarty z literą G, i jeszcze o innych, których siłą wcielono do SS. Te kilkaset osób to plama na góralskim honorze i choć twórcy starannie pozacierali autentyczne konteksty i historyczne fakty (choćby masowe dezercje z Goralen Legionu, mającego być tatrzańską odmianą oddziałów strzelców alpejskich), „Biała odwaga” wzbudziła spore oburzenie miejscowych władz i aktywistów Związku

Podhalan. Próbowali to wykorzystać działacze Suwerennej Polski, partii Zbigniewa Ziobro, ale nie do końca im się to udało. Zresztą świadomie pozostawiona niejednoznaczność poszczególnych scen uspokoiła skorych do protestów aktywistów. Większość wojennych sytuacji jest jedynie kwitowana – oto rodzina żydowskiego właściciela hotelu musi przenieść się do getta, tatrzański kurier przeprowadza przez granicę polskiego oficera, opór stawiany Niemcom oznacza więzienie, tortury lub nawet obóz koncentracyjny. Sytuacja wojenno-polityczna w filmie Koszałki stanowi tylko tło – jakkolwiek znaczące, ale jedynie tło, wzmacniające brutalność czasów, w jakich się film rozgrywa. Podobnie jak sekwencje finałowe, kiedy sowiecki dowódca przymierza polski mundur, bowiem od tej chwili będzie rządził Podhalem.

Skoro historia jest tłem, na plan pierwszy wysuwa się rodzinna tragedia, wywołana przywiązaniem do tradycji – z jednej strony prostej i jednoznacznej, z drugiej – odpornej na upływ czasu i konieczność niuansowania podejmowanych w jej imieniu decyzji. W efekcie giną ludzie, ci, którzy na śmierć zasłużyli, i jej przypadkowe ofiary, rzecz ma bowiem wymiar szekspirowski. Trup ściele się gęsto: ginie ojciec, idący w góry po syna, którego wcześniej przeklął za nieposłuszeństwo, ginie kobieta, o którą poróżnili się bracia, ciężarna, bowiem wcześniej pokochała niechcianego męża, ginie jej ojciec-kolaborant, śmierć spotyka też partyzanta, który ich zastrzelił. A także antropolog, gorzko przypłacając porażkę swoich badań. Umiera też patriarcha góralskiego rodu, którego ciało wnuk składa w górskiej jaskini. Tam także trafi ów nieszczęśnik, od którego to wszystko się zaczęło.

A na ten makabryczny taniec śmierci patrzą z góry majestatyczne, pięknie fotografowane Tatry – początek i koniec wszystkiego. ■



# Polsko-niderlandzkie Kulturobranie 2024 w Nowej Róży

ZOFIA

SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Czytelnikom Sceny Polskiej nazwa wielkopolskiej wsi Nowa Róża nie jest obca. To dawna wieś olenderska nazywana kiedyś Różańskie Olędry w której od lat rozwija się letnia działalność Sceny Polskiej w Holandii, a od 2013 ma tutaj też siedzibę Fundacja „hOlendry”.

Kilka słów o tym co tutaj się dzieło:

– w 1999 roku (25 lat temu!) swój debiut miała tutaj Scena Młodych przy Pools Podium. Reżyser Tomasz Szymański stworzył przedstawienie Stanisława Witkacego pt. „Juwenała”, który zaprezentowano mieszkańcom regionu, a potem Scena Polska w Holandii wystawiła ten spektakl w Utrechcie.

– w 2005 roku rozpoczęto współpracę z etnografem Witoldem Przewoźnym, znawcą tematyki osadnictwa Olenderskiego



Marcel van de Kraats

i z udziałem Sceny Młodych powstał film pt. „Śladami Olendrów w Wielkopolsce”.

– od 2006 roku organizowane są warsztaty filmowo-medialne pod nazwą „Podbienstwo Różnic”. Prowadzone przez reżysera Dominika Matwiejczyka we współpracy z operatorem i montażystą Mateuszem Młochowskim przyciągały zawsze

grupy młodych Polonusów, Holendrów i Polaków. Do dzisiaj trwają nawiązywane tutaj przyjaźnie.

To tylko kilka przykładów letnich działań Sceny Polskiej w Nowej Róży, łączących Holendrów, Polonusów i przybyszy z prawie wszystkich zakątków świata. To magiczne miejsce, namaszczone historią i tradycją osadnictwa olenderskiego, znane z pielęgnowania tradycji regionalnych przez mieszkańców oraz otwartości na wielokulturowy świat.

Fundacja „hOlendry” we współpracy ze Sceną Polską postanowiły zaprosić uczestników wszystkich spotkań w Nowej Róży na integracyjne Kulturobranie 2024.

Kto będzie w tych stronach, to zapraszamy, dołączcie do nas.

Zainteresowanym organizatorzy prześlą szczegółowy program.

Fundacja „hOlendry”

e-mail: nowaroz2@gmail.com

## Czy to jeszcze nasza bajka?

KONRAD J. ZARĘBSKI

Dnia 2 lipca minęła 58. rocznica śmierci Jana Brzechwy, a właściwie Jana Wiktora Lesmana – stryjcznego brata poety Bolesława Leśmiana. Sam poeta i satyryk, a przede wszystkim autor niezapomnianych wierszy dla dzieci. A także – wybitny prawnik, adwokat i specjalista od prawa autorskiego, jeden z założycieli Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych (ZAIKS).

Pierwsze zbiorki wierszy dla dzieci, „Tańcowała igła z nitką” i „Kaczka Dziwaczka”, opublikował jeszcze przed wojną. Z miejsca zdobyły popularność i weszły do kanonu literatury dziecięcej, by nie opuścić go do czasów współczesnych. Pytanie jednak, czy byłyby tal długowieczne, gdyby nie „Akademia Pana Kleksa”, przygodowo-fantastyczna powieść dla dzieci, napisana w dniach wojny, a wydana wraz z rysunkami Jana Marcina Szancera w 1946 roku nakładem autorów. Jest to historia pewnego niesforne go chłopca, Adasia Niezgódki, który trafia – wraz z 23 innymi kolegami, których imiona zaczynają się na literę A, do niezwykle Akademii, prowadzonej przez niejakiego Ambrożego Kleksa. To tam chłopcy uczą się mnóstwa pozornie niepotrzebnych – a w istocie niezbędnych, bo poszerzających wyobraźnię – rzeczy: ot, takie antidotum na czas wojennej smuty. Dla

kilku pokoleń dzieci i ich rodziców książka okazała się jedną z najważniejszych lektur. Ale jak zazwyczaj bywa z takimi pokoleniowymi dziełami, ich czas przemija, ale nie w tym przypadku.

Oto w połowie lat 80. XX wieku pojawił się film „Akademia Pana Kleksa” Krzysztofa Gradowskiego z muzyką Andrzeja Korzyńskiego. I nagle wielokolorowy świat Brzechwy ożył na nowo, z miejsca zdobywając wielomilionową publiczność. W roli Pana Kleksa, przewodnika po świecie wyobraźni, nie tylko prowadzącego słynną bajkową Akademię, ale i odbywającego fantastyczne podróże i penetrującego Kosmos, wystąpił Piotr Fronczewski – aktor wszechstronny, potrafiący trafić do każdego widza w każdym wieku. To był strzał w dziesiątkę! Adaś Niezgódka i jego kole-dzy, wędrujący po świecie wyobraźni, kiedy kino aktorskie mieszało się z animacją, zaczarowali młodych widzów i ich rodziców – do tego stopnia, że wizja Gradowskiego zdominowała interpretację dzieła Brzechwy. Zatarło się powiązanie „Akademii” z czasami okupacji, ważna stała się umiejętność przeżywania wieloaspektowej przygody i wrażliwość na nieznanne światy. Skomponowane przez Korzyńskiego piosenki do wierszy Brzechwy na trwałe weszły do kanonu sztuki dla dzieci, wystarczy kilka taktów piosenki „Witajcie w naszej

bajce”, by wszyscy zaczęli klaskać i bujać się w jej rytm.

Minęło niemal 40 lat i Pan Kleks wrócił. Piotra Fronczewskiego zastąpił wprawdzie równie wszechstronny Tomasz Kot, Adaś Niezgódka stał się Adą, zaś Akademia zmieniła się nie tylko w szkołę koedukacyjną, ale i wielorasową, by nie powiedzieć – wielokulturową. Coś tu chyba nie gra? Dlaczego zamiast zbiorów w rodzaju Filipa Golarza (Adolfa Malarza?) pojawiła się wataha wilkołaków, a promującą film piosenkę wykonuje supergrupa współczesnych rockmenów i raperów. Tytuł niby podobny: „Całkiem nowa bajka”, ale słowa i dźwięki zupełnie inne. Wprawdzie muzyka Korzyńskiego ocalała (we fragmentach), ale towarzyszą jej nowe brzmienia. „To nie jest nasza bajka!” – zawył chór krytyków wychowanych na „Kleksie” Gradowskiego. I choć film Macieja Kaweckiego gromadzi w kinach milionową publiczność i podbija zagraniczne rynki Netflix, średnie pokolenie krytyków odsądza go od czci i wiary, twierdząc wręcz, że to najgorszy film świata, którego nie sposób oglądać i słuchać. Czyżby, panowie i panie? A kto, jeśli nie wy, postawił na kino akcji superbohaterów i efektów specjalnych, zapominając o kameralnych dramatach, opisujących zwykłych ludzi? Nie mówiąc już o uwielbianym przez was rapie, zagłuszającym melodyjne piosenki choćby takich Beatlesów.



# Najciekawsze są kulisy



## JACEK KAŁUCKI

Kochane moje Polonusy! Na dowód że powstają „Kulisy 2” przesyłam Wam (po cichu) kilka nowych rozdziałów – tylko nikomu ani mru-mru! Jesteście PIERWSI, którym odsłaniam moje sekrety. Wprawdzie są one jeszcze chropowate, ale... docencie to! Przy okazji prosba: Podzielcie się ze mną swoimi uwagami na



temat pierwszej mojej książki „Sekrety zza kulis”. Wiem że wciąż jest dostępna w księgarniach internetowych. Być może Wasze sugestie i pomysły pomogą mi i przyspieszą wydanie „Kulis 2”. Teksty które Wam przekazuję są trochę „od Sasa do lasa”, gdyż nie mam jeszcze pomysłu na całość. Coś mi chodzi po głowie... zobaczymy. Wprawdzie Wydawczynie i Czytelnicy mnie ponaglają, ale pośpiech jak Wicie jest wskazany wyłącznie przy łapaniu pcheł.

Tradycyjnie Was wszystkich pozdrawiam życząc; marzeń o które warto walczyć i nadziei bez której nie da się żyć!

Jacek Kałucki

## Estradowy... NIEZBĘDNIK

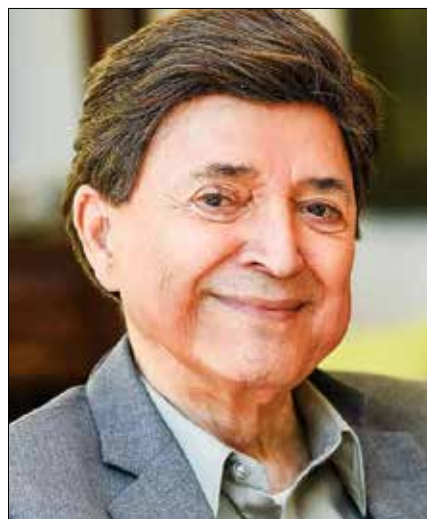
Z okazji Dni Wałbrzycha zostałem zaproszony jako „Docent Doświadczalski” do udziału w okolicznościowej imprezie. Postać „Docenta” przedstawiałem w cotygodniowym telewizyjnym programie dla

dzieci i młodzieży; „Wyprawy profesora Ciekawskiego”. Na lokalnym stadionie odbywał się istny „maraton estradowy”; od 10 rano były imprezy i koncerty dla najmłodszych, później występy dla młodzieży i dorosłych a na koniec o 22.00 występowała gwiazda wieczoru – Małgorzata Ostrowska z zespołem „Lombard”. Będąc na miejscu organizatorzy poprosili mnie, abym poprowadził całą imprezę gdyż Tadeusz Broś, który miał być konferansjerem nagle zachorował i trzeba było zrobić zastępstwo. Zgodziłem się, gdyż ekwiwalent finansowy był na tyle atrakcyjny, że rekompensował moją treść i stres. Na koncert przybyły wprost z festiwalu w Opolu tuzy polskiej piosenki; Halina Frąckowiak, Irena Jarocka, Krystyna Prońko, Maryla Rodowicz, Ryszard Rynkowski, Zbigniew Wodecki, Tadeusz Woźniak, Andrzej Zaucha... a ja miałem wspólną garderobę z Jerzym Połomskim! Powiesiłem na wieszaku swój „docentowski” czerwonony frak i w nerwach oczekiwałem na rozpiszkę: kto, kiedy, po kim i wymyślałem jakieś mniej lub bardziej zabawne zapowiedzi. Nagle do garderoby wszedł facet:

– Dzień dobry. Przyniosłem to, o co proszono... – Kolejność występujących? – Nie. Żelazko i deskę do prasownia?! – Czy pan się nie pomylił? – Pan Połomski o to prosił. – Skoro tak, to proszę zostawić..

Po chwili wszedł pan Jerzy. Przywitał się ze mną serdecznie i zauważywszy żelazko powiedział:

– No, widzę że jest tu dobra organizacja! Pan już występował? – Tak, miałem swój półgodzinny show dla dzieci, a teraz już w roli konferansjera w II części, muszę wejść i zapowiedzieć między innymi pana. Nie ukrywam – mam dużą treść. – Spo-



Jerzy Połomski

kojnie panie Jacku, mamy jeszcze trochę czasu. Zdaży pan nawet żelazkiem „przelecieć” swój nieco pognieciony frak. Proszę zapamiętać, że najważniejsze dla artysty estradowego jest wyprasowany kostium. To co pan będzie robił później, jest już mniej ważne. Liczy się WEJŚCIE!

Jerzy Połomski (a właściwie Jerzy Pająk), był wspaniałym człowiekiem i artystą! Nie ważne czy nosił perukę, czy nie, czy miał takie lub inne preferencje... był jednym z najwspanialszych ludzi jakich poznałem.

*PS W 2005 roku reprezentując Związek Artystów Scen Polskich, miałem zaszczyt zasiadać z panem Jerzym w jury Ogólnopolskiego Festiwalu Kabaretowego „Wyżyny drwiny” w Lublinie. Przyznaliśmy nagrodę naszego Związku dla początkującego Kabaretu SMILE oraz dla Andrzeja Mierzejewskiego (członka tego kabaretu), jako Indywidualność Estradową. Dzisiaj okazuje się, że... wybór był trafny!*

## Niewinne... QUI PRO QUO

Wielu ludzi głównie ze środowiska artystycznego zmienia sobie nazwisko – a dzieje się tak od zawsze. Na przykład Julian Andrzej Maluszek za namową Leona Schillera „przechrzcił się” na Juliusza Osterwę. Przyczyny takich zmian są różne, bywają bardzo osobiste i do tych nie będę się odnosił. Natomiast często wiążą się one z identycznym brzmiącym mianem rodowym innego artysty. Wielki Ludwik Sosnowski zmienił nazwisko na... Solski, gdyż w teatrze był aktor Józef Sosnowski będący na dodatek ulubieńcem samego Stanisława Wyspiańskiego, który z myślą o nim napisał rolę Bolesława Śmiałego. Wybitny kompozytor nagrodzony Oscarem za muzykę do filmu „Marzyciel”, do imienia Jan, dodał pierwsze litery swoich dwóch imion – Andrzej i Paweł. I tak Jan A. P. Kaczmarek różnił się od znanego satyryka, felietonisty, piosenkarza i autora piosenek – Jana Kaczmarka. Mój kolega z teatru Jan Tomaszewski, dołożył sobie z kolei przydomek Janga i tym samym skończyły się niewybredne żarty, kojarzące go z legendarnym bramkarzem „Orłów” Kazimierza Górskiego – pisałem o tym w poprzednich „Sekretach...”. Zbieżność nazwisk powoduje czasem różne zaskakujące pomyłki. Bywają także śmieszne nieporozumienia.

W 1972 roku w ramach Festiwalu w opolskim amfiteatrze, odbył się koncert „Witaminy po raz dziesiąty”, do którego zaproszono plejadę gwiazd. Wśród nich był Daniel Kłosek. Publiczność знаła go doskonale



z występów z grupą „Pięciu” i „Portrety”. Tym razem przyjechał do Opola, by zaprezentować się po raz pierwszy jako solista. Rewelacyjny Lucjan Kydryński, który zapowiadał koncert oczywiście znał piosenkarza, lecz umknął mu fakt, że Kłosek będzie występował pod pseudonimem.

– A teraz przed państwem znany i lubiany artysta, który przyjechał prosto z dwumiesięcznego tournée po Związku Radzieckim. Piosenkę zatytułowaną „Deszcz i wiatr” „z muzyką i aranżacją Wojciecha Kracickiego-Mockały do słów Andrzeja Jastrzębca-Kozłowskiego, ze stowarzyszeniem zespołu „Partita” zaśpiewa Daniel...

W tym momencie pan Lucjan zerknął na kartkę, po czym uroczyście zaanonsował:

– DANIEL!

Widownia była przekonana, że Kydryński zapomniał nazwiska i kiedy artysta pojawił się na scenie, zebrani w amfiteatrze chóralnie krzyknęli:

– KŁOSEK!!!

\*\*\*

Mój serdeczny przyjaciel jeszcze ze studiów w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej – Maciek Maciejewski, w 1979 roku jako świeżo upieczony aktor pojechał na wakacje nad morze. Tam poznał dziewczynę o imieniu Jola. Niestety następnego dnia panienka wracała już do rodzinnego miasta. Niewiele o sobie wiedzieli, jedynie ona zapamiętała, że Maciejewski jest z Warszawy i jest aktorem. Po jakimś czasie Jolanta przyjechała z wycieczką szkolną do stolicy. W kiosku kupiła Warszawski Informator Kulturalny a w nim znalazła anons, że w Teatrze Polskim grana jest sztuka Edmonda Rostanda „Cyrano de Bergerac” w której między innymi grają: Laura Łącz, Krzysztof Chamiec i... Maciej Maciejewski! Wszystko się zgadzało, gdyż w przedstawieniu rolę Mieszczanina grał znakomity aktor o tym nazwisku, ale rocznik... 1914. Jola kupiła bukietek dołączając do niego kartkę: Jestem na widowni. Po spektaklu czekam przed teatrem – Jola. Kwiaty zostawiła na portierni teatru prosząc o doręczenie aktorowi. Krzysztof Chamiec, który kreował Cyrana opowiadał mi, że takiego przedstawienia, to on w życiu nie grał:

– Ten stary pierdoła w trakcie dialogu, cały czas wodził wzrokiem po widowni szukając tajemniczej Joli. W dupie miał jakikolwiek kontakt ze mną – ważna była Jola i nikt inny!

Po przedstawieniu pan Maciej z bukietkiem w rękę, długo spacerował pod teatrem w poszukiwaniu wielbicielki. Jola stała za drzewem cała w pąsach, a zespół ukryty konał ze śmiechu! Po dłuższej chwili dziewczyna ośmieliła się i podeszła przepaszając aktora. On z wyrozumiałością podał jej namiar na właściwego Maćka do Teatru



Jacek Kałucki i Maciej Maciejewski

Komedia. Znał go, bo wcześniej pobierali jeden za drugiego honoraria z telewizji.

*PS Kiedy Maciek zaangażował się do teatru Powszechnego, dyrektor Zbigniew Hubner zaproponował mu aby zmienił imię. Ponieważ na drugie miał Sylwester, został ponownie ochrzczony, jako Sylwek Maciejewski. W serialu „Ranczo” grając sławetnego Solejuka, posługiwał się już nowym mianem rodzowym. Ale dla mnie i dla swojej rodziny, będzie zawsze... Maćkiem, względnie Maciułą.*

### Dziecka nie da się... OSZUKAĆ.

Pracując już w teatrze, pewna agencja artystyczna zaproponowała mi udział w bajce z którą jeździłem po Polsce występując w mniejszych i większych zakątkach kraju. Uczestniczyłem w tej przygodzie, we wspólnym towarzystwie; Bożeny Dykiel, Joanny Jędryki, Macieja Damięckiego, Macieja Kujawskiego, Piotra Skargi...i wielu, wielu innych. Grałem „Lisa” w przedstawieniu z morałem, gdzie w końcówce spektaklu „Kogucik”, którego przedstawiał Damięcki biegając między rzędami, gubił umyślnie trąbkę, którą w finale przedstawienia miał użyć na znak alarmu przed nadchodzącym „Niedźwiedziem”. W pewnym momencie dziewczynka siedząca na widowni podnosząc dwa paluszki do góry wstała i donośnym głosem zakomunikowała:

– Pseprasam, ale kogucik zgubił trąbeckę.

Początkowo udawaliśmy że tego nie słyszemy i graliśmy dalej. Jednak osóбка nie dała za wygraną i jeszcze głośniejszym wyartykułowała:

– Ale kogucik naprawdę zgubił trąbeckę!

Ponieważ na widowni pojawił się spory rejwach, trzeba było w jakiś sposób zareagować. Bożenka Dykiel, która z kolei kre-

owała „Czarownicę” demonicznym głosem, zwróciła się do dziecka:

– Cicho krasnalu, nie okłamuj leśnych zwierząt! Kogucik nie mógł zgubić swojej trąbki!!

Na to wstała oburzona siostra zakonna i trzymając w rękę trąbkę stanowczo zaprotestowała:

– Ja bardzo przepraszam, ale nasze dzieci nie kłamią. Pan kogucik istotnie zgubił trąbkę – a to jest dowód!

Z podniesionym instrumentem podeszła do Maćka zwracając mu zgubę.

Jakimś cudem opanowaliśmy się i po pewnym czasie niepostrzeżenie odrzuciliśmy trąbkę w kulisę.

*PS Zawsze powtarzam, że dziecięca widownia jest najbardziej wymagająca, gdyż JEJ oszukać się nie da!*

### Trudne... ZADANIE AKTORSKIE

Kiedy używam słowa „niepostrzeżenie”, zawsze przypominam mi się anegdota związana z wybitnym aktorem i człowiekiem o wielkim poczuciu humoru – Gustawie Holoubku. W 1971 roku w stołecznym Teatrze Dramatycznym odbyła się premiera sztuki Williama Szekspira p.t.: „Juliusz Cezar”, którą reżyserował Ludwik Rene. Pan Gustaw kreował w niej rolę Marka Antoniusza. Któregoś dnia na próbie Rene zwrócił się do Holoubka:

– Słuchaj Guciu, mam do ciebie taką prośbę... jakbyś mógł tak niepostrzeżenie przemieścić się z jednej strony sceny na drugą. – Słucham? – No... żebyś tak niepostrzeżenie znalazł się nie przy lewej, tylko przy prawej kulisie. – Słuchaj Luciu, niepostrzeżenie to ja ci mogę... żonę uwieść!

*PS W oryginale pan Gustaw powiedział... dosadniej.* ■

# Most o trzech przęsłach Ismaila Kadarego w polskim przekładzie



## MAREK JEZIORSKI\*

Praca nad tłumaczeniem powieści z języka albańskiego sprawiła mi wiele translatorskiej satysfakcji. To kolejny przekład prozy Ismaila Kadarego, po wydanej w ubiegłym roku *Kronice w kamieniu. Tekst Mostu o trzech przęsłach*, bogaty w opierające się próbie czasu historyczne i filozoficzne metafory, wciąga i pobudza wyobraźnię. To jedna z najważniejszych książek w dorobku pisarza, tworzona w latach 1976–1978, w okresie narastającego terronu komunistycznego dyktatora Envera Hoxhy. Powieść ukazała się nakładem Wydawnictwa Akademickiego Sedno.

Akcja powieści dzieje się w drugiej połowie XIV wieku, narratorem jest stary albański chrześcijański mnich, opowiadający w swojej kronice o budzących grozę wydarzeniach wokół budowy kamiennego mostu nad rzeką, przeprawy, która miałaby poprawić komunikację po antycznej drodze Via Egnatia, ułatwić związki między różnymi światami. W tle rysują się konflikty albańskich księstw, osłabiające ich jedność w obliczu zbliżającego się zagrożenia ze strony osmańskiej Turcji, a także sprzeczności interesów dwóch wielkich firm, jednej -sprawującej od lat kontrolę nad rzeczną żeglugą, drugiej - liczącej na zyski z zarządzania budowanym mostem i remontowanymi drogami. Obie sięgają w swoich niecznych działaniach po starą legendę, mocno zakorzenioną w lokalnej świadomości, nakazującą przebłaganie wodnych bóstw, by uzyskać ich przychylność i zapewnić trwałość kamiennej budowli. Most wymaga więc ofiary, poświęcenia poprzez zamurowanie żywego człowieka w jednym z mostowych przęseł.

Historia nawiązuje do legendy, powstałej w Szkodrze, mieście

północnej Albanii, legendy obecnej w licznych przekazach w innych krajach bałkańskich, w wielu tekstach literackich, jak chociażby w *Moście na Drinie* Ivo Andrića, czy *Opowieściach wschodnich* Marguerite Yourcenar. Autor łączy jej wątki z elementami baśni, lokalnych mitów i wierzeń oraz bardzo realnego świata, któremu nieobce są okrutne działania, sprawiające, że - jak podaje mnich-kronikarz - „...to nie była ofiara złożona wodnym bóstwom, ale po prostu zwykła zbrodnia...”.

Mnisi narrator, bardzo trzeźwy w ocenie zagarniających go wydarzeń, nie jest jednak w stanie oderwać się od mitologicznych wyobrażeń i skojarzeń. Rzeka, zwodnicza i złośliwa, jest jakby granicą oddzielającą dwa światy, żywych i umarłych. Stary, przygnieciony garbem tratwiarz, przepływający przez rzekę przerażonych ludzi, niepewnych, co ich czeka po drugiej stronie, przypomina Charona. Most budzi ludzki niepokój, jawi się bowiem jako świętokradcza budowla, mająca połączyć nieprzystające do siebie światy. Najlepiej zdaje się to wyczuwać niespełna rozumu

wiejski chłopak, którego wyostrzone zmysły w sposób niezrozumiały przez niego samego powstrzymują go od przejścia po gotowym moście.

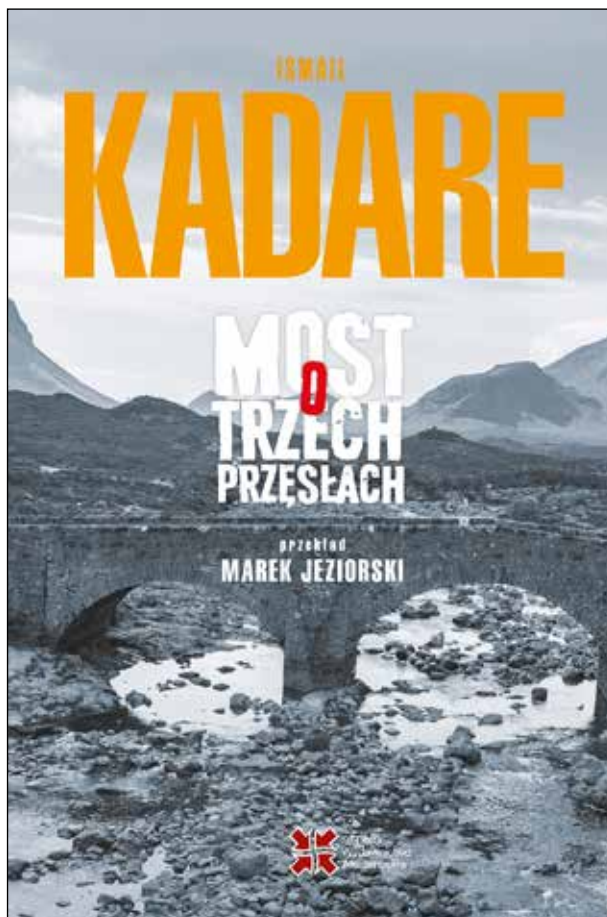
Dwa przeciwstawne światy to także szereka historyczna metafora. Dotychczasowy, odchodzący w przeszłość świat to Albania chrześcijańska, z dobrze uświadomianą, jak przekonuje nas pisarz, europejską tożsamością. Świat nieubłaganie nadchodzący, budzący strach, to panowanie - jak się okaże, wielowiekowe - osmańskiej Turcji, islamu, obcej kultury i wiary. Mnich-kronikarz doskonale to rozumie, spieszy się, by spisać swoje świadectwo-ostrzeżenie.

Ismail Kadare nie byłby sobą, gdyby nie zawarł w powieści odniesienia do otaczającej go rzeczywistości. Pisarz nie ukrywał po latach, że uprawnione byłoby utożsamianie go z narratorem, tworzącym kronikę mnichem, który starał się, by - jak pisze w końcowym rozdziale - „... jak najszybciej doprowadzić ją do końca, albowiem czas był żałobny, zaraz mogła zapaść noc i będzie za późno na wszystko, a za spisywanie takich świadectw zapłaci się zapewne głową.”

*Most o trzech przęsłach* jest fascynującą opowieścią o przeszłości, ale także z czytelnymi odniesieniami do teraźniejszych egzystencjalnych niepokojów, kulturowych i cywilizacyjnych sprzeczności, starć demokracji i wolności z dyktatorskimi zapędami, których wynik może przesądzać o losach ludzi na pokolenia. Polski czytelnik może teraz zapoznać się z oryginalnym powieściowym spojrzeniem na takie zagrożenia i ich twórczym przedstawieniem przez wybitnego pisarza, pochodzącego z kraju naznaczonego wieloma tragediami, a teraz budzącego coraz większe zainteresowanie w Polsce.

Ismail Kadare zmarł 1 lipca 2024 r. Jego twórczość pozostanie w nas żywa. Sięgając po słowa narratora *Mostu o trzech przęsłach*, każdy z nas mógłby powiedzieć o pisarzu: „...umarłeś przede mną, lecz będziesz żył dłużej niż ja...” ■

\* Marek Jeziorski - Ambasador RP w Albanii w latach 2012-2016. Spędził sześć lat w Holandii (1993-1999), był doradcą Maxa van der Stoela, Wysokiego Komisarza OBWE ds. Mniejszości Narodowych.





# Lektury na lato, wybór subiektywny



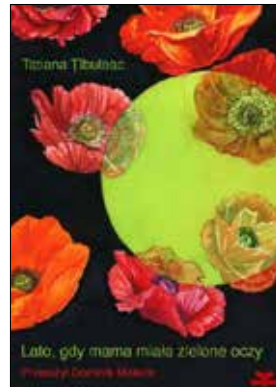
## GRAŻYNA GRAMZA

Książka, od której chciałabym zacząć, zwróciła moją uwagę przede wszystkim okładką z makami. Lubię te kwiaty i kiedy widzę całe ich pola nastraja mnie to nostalgicznie, bo kojarzą mi się z wakacjami u babci. Tytuł „Lato, gdy mama miała zielone oczy” też przyciągał. Jednak dość długo nie mogłam się za nią zabrać, ale kiedy już zaczęłam, to przeczytałam w jeden dzień. Nie byłam w stanie oderwać się od monologu, jaki w swojej głowie toczy Aleksy, który próbuje po latach odtworzyć wydarzenia związane z latem we Francji. Jego wspomnienia są bolesne i niezwykle trudne – mówi o złej relacji z ojcem, śmierci siostry, swoim opuszczeniu i szaleństwie, a przede wszystkim nienawiści do matki, której żyłczy śmierci:

*Była mała i gruba, głupia i brzydka.  
Najbardziej bezużyteczna ze wszystkich matek,  
jakie dotąd istniały.  
Przyglądałem się jej przez okno: sterczała  
przed bramą szkoły jak żebraczka.  
Zabiłbym ją odłamkiem myśli. (s. 5)*

Ta książka to poemat o nieubłagalnym przemijaniu, zmysłowy i pełen czułości, pomimo wścieklej narracji zbuntowanego nastolatka. Tatiana Țibuleac w swojej debiutanckiej powieści w niezwyklej sposób opowiada o najważniejszej więzi, jaką jest więź z matką. Na marginesie dodam, że rodzina Aleksego ma polskie korzenie, chociaż ta polskość zaznaczana jest mimochodem, np. bohater jako dziecko uwielbiał ptasie mleczko.

Powieść Tatiany Țibuleac niejako literacko dopełnia książkę „Los, który dziedziczysz”. W niej Noémi Orvos-Tóth, węgierska psycholożka i psychoterapeutka, odnosząc się do najnowszych badań naukowych oraz własnej praktyki, analizuje wpływ przeszłości rodzinnej na nasze życie. Poruszając zagadnienia, takie jak oczekiwania wobec płci dziecka, kolejność urodzeń w rodzinie i relacje pomiędzy rodzeństwem, dotyka jednocześnie istotnych kwestii międzypokoleniowego dziedziczenia traumy oraz roli przywiązania i więzi. Nasze



własne problemy, złe wzorce i trudne relacje, a nawet choroby, mogą mieć korzenie w odległej przeszłości. Dramatyczne przeżycia naszych przodków, nieprzepracowane straty, uprzedzenia, a przede wszystkim tajemnice wpływają w sposób nieuświadomiony na nasze życie i niewidzialnie kształtują nasz los. Wszycy jesteśmy potomkami ludzi, których przodkowie doświadczali głodu, wojen, złego taktowania i których dotknęły osobiste tragedie, dlatego według Noémi Orvos-Tóth warto zagłębić się w przeszłość rodziny i spróbować ułożyć swój genogram, czyli drzewo genealogiczne wzbogacone o informacje, które mogą pomóc zrozumieć nas samych.

Pozostając w kręgu tematów rodzinnych, chciałabym też zachęcić do sięgnięcia po „Dziennik utraconej miłości” Érica-Emmanuela Schmitta, w której autor mierzy się z utratą ukochanej matki. Książka ta jest niezwykle intymna, a Schmitt opowiada o relacji pełnej miłości, która się nie kończy nawet po śmierci. Francuski pisarz i dramaturg, którego znamy m.in. z książki „Oskar i pani Róża”, pierwszą swoją powieść napisał w wieku 11 lat. Był cudownym dzieckiem. Ukończył jedną z bardziej prestiżowych uczelni humanistycznych i został doktorem filozofii, ale nadal pisał. Sztuki z początku lat dziewięćdziesiątych przyniosły mu trzy Molièry, ważną nagrodę za osiągnięcia teatralne. Na rzecz literatury i teatru zrezygnował z pracy wykładowcy. Jego książki zostały przetłumaczone na 35 języków, a pisarz jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych autorów francuskich na świecie. Jednak w „Dzienniku utraconej miłości” spotykamy człowieka, który szaleje z żalu, chce umrzeć i długo nie może pogodzić się ze śmiercią matki. Pisanie przynosi mu trochę spokoju i pozwala przypomnieć sobie chwile jakie razem spędzili. Uświadamia sobie, że to matka go ukształtowała i pchnęła w stronę sztuki, za co jest jej ogromnie wdzięczny. Dwa lata żałoby zamknięte w niedużym

dzienniku, to lektura dla każdego, bo przecież każdy z nas musi mierzyć się ze stratą kogoś bliskiego, a Éric-Emmanuel Schmitt daje nam nadzieję, pisząc, że „Mama chociaż nie żyje, nie jest śmiertelna”.

I na koniec proponuję coś zupełnie innego, mianowicie „Sztuczną inteligencję. Co każdy powinien wiedzieć” autorstwa Jerrego Kaplana. W ocenach znawców, książka ta jest zaledwie ciekawostką, ale dla mnie jest zajmująca. Sam fakt, że autor nietechnicznym językiem analizuje problemy dotyczącej sztucznej inteligencji już zasługuje na zainteresowanie. SI, która udoskonala i ułatwia nasze życie jest dziedziczą informatyki. Jednak wykorzystując różne techniki w tym uczenie maszynowe oraz przetwarzanie języka naturalnego i sieci neuronowych, nie jest tylko programem. Fakt ten zmusza ludzi do szukania rozwiązań na różnego rodzaju wyzwania, takie jak: kwestie etyczne, prywatność danych, kontrola nad technologią i wpływ na rynek pracy. Autor stawia m.in. pytania: *Czy maszyny naprawdę mogą przewyższyć ludzką inteligencję? Czy robot może świadomie popełnić przestępstwo? Jesli założenie umysłu do maszyny okaże się możliwe, czy to nadal będziemy my? Takich kwestii jest sporo, więc mamy o czym myśleć.* Poza definicjami i omówieniem głównych zagadnień, autor przybliżył nam również historię badań nad SI, w tym przypomina skąd wzięła się nazwa „robot”? Podobno to sprawka Karela Čapka i jego sztuki z 1921 roku zatytułowanej „R.U.R.” (Rossumovi Univerzální Roboti).

Rozwiewa też nasz entuzjazm, co do wykorzystywania humanoidalnego robota w życiu codziennym. Niestety w najbliższym czasie raczej nie mamy szans na przyjaźń taką, jaka połączyła Franka i jego robota z filmu w reżyserii Christophera Forda, ale już dziś mamy urządzenia, o których niedawno czytaliśmy tylko w powieściach science fiction.

Życzę Wszystkim miłej lektury i udanych wakacji!

# Elżbieta Dedek – genialna pianistka, wirtuoz muzyki Fryderyka Chopin’a



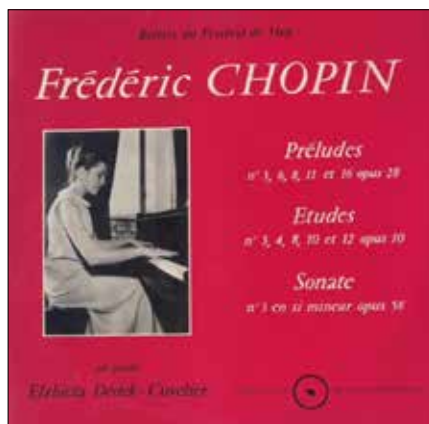
ANNA KOS

Rzadko kto potrafi zagrać utwory Chopina tak jak Ona! Elżbieta Dedek to polska pianistka od lat mieszkająca w Belgii. Koncertowała niemal na wszystkich kontynentach, w kilkudziesięciu krajach świata. Poza Belgią i oczywiście Polską, np. w Brazylii, Peru, USA, Kanadzie, Santo Domingo, Turcji, Egipcie, Indiach, Grecji, Nigerii, Czadzie, Szwecji, Francji, Portugalii, Wielkiej Brytanii, Holandii, Rosji, Madagaskarze...

Jak sama mówi, pianistką została „jeszcze przed urodzeniem”, bo zanim się urodziła rodzice zdecydowali, że będzie właśnie pianistką. Już w kołysce ustawiano ją na kłapie fortepianu, nieco później sypiała pod nim. Naukę gry na tym instrumencie rozpoczęła od wczesnego dzieciństwa. Jej pierwszym nauczycielem był Ojciec. Opracował dla niej specjalną metodę, gdzie zamiast nut rysował „zwierzątka” – kotka, pieska, niedźwiadka, itd. W rezultacie w wieku 5 lat potrafiła zagrać z pamięci 49 melodii! Ojciec odnotował tę informację w pamiętnikach. Powtarzał Jej często: „Zobaczysz, muzyka otworzy Ci każde drzwi”. Mama od dziecka ubierała ją w śliczne sukienki „na scenę” i prowadziła do fotografa, aby utrwalił młodzieńcze lata przyszłej „ślawnej pianistki”, w co absolutnie wierzyła.

Pochodzi z rodziny uzdolnionej muzycznie, aczkolwiek jej siostra i dwaj bracia nie odziedziczyli po przodkach talentu muzycznego. Ojciec grał na skrzypcach i fortepianie. Dziadek na organach i różnych instrumentach. Pradziadek był ponoć genialnym skrzypkiem i jak pamięć rodzinna sięga nazywano go „Czarodziejem”, bo tak pięknie grał, a legenda mówi, że nawet kiedy przestawał grać „to skrzypce same grały”.

Studia muzyczne rozpoczęła w Państwowej Szkole Muzycznej nr 1 w Warszawie. Wcześniej, bo w wieku 5 lat! Nie było to zgodne z ówczesnymi przepisami, ale Ojciec znalazł pretekst i poprosił komisję egzaminacyjną, aby ją przesłuchała, bo chciałby wiedzieć, czy ma dalej kontynuować jej naukę. Dodał, że sam niewiele już może ją nauczyć. Komisja była tak zaskoczona jej talentem



Okładka jednej z płyt

i pamięcią muzyczną, że specjalnie dla Niej utworzono klasę „0”!

Kiedy miała 15 lat wraz z mamą, braćmi i siostrą przyjechała do Belgii do Ojca, który znalazł się tutaj nieco wcześniej. Rok później, w 1960 r. spotkało Ją nie lada wyróżnienie: została zaakceptowana do klasy fortepianu Stefana Askenase profesora w Królewskim Konserwatorium w Brukseli. Ten znakomity pianista jako jeden z pierwszych nagrał całość kompozycji Chopina.

Przypomnijmy, że Stefan Askenase uczył się instrumentu od matki, która sama była uczennicą kompozytora i dyrygenta Karola Mikuli, ucznia samego Chopina. Dodajmy, że do spadkobierców tej tradycji można zaliczyć następnych uczniów; znanych artystów, takich jak np.: Martha Argerich, Andrzej Czajkowski czy Mitsuko Uchida.

Elżbieta Dedek studiowała też w Konserwatorium Królewskim w Mons uzyskując dyplom zwany – “Premier Prix de Piano” (“Pierwsza Nagroda Fortepianu”) i następnie “Premier Prix de Musique de Chambre



Elżbieta Dedek w Ambasadzie Królestwa Belgii

(“Pierwsza Nagroda Muzyki Kameralnej”) w Konserwatorium Królewskim w Liège.

Pierwszym Jej występem był recital na zaproszenie Père Pire’a (Ojciec Pire – laureat Pokojowej Nagrody Nobla). Prawdziwą popularność zdobyła dzięki udziałowi w belgijskim programie telewizyjnym „Visa pour le monde”, w którym jeden z odcinków poświęcony był Polsce. Realizator – Georges Désir zadzwonił do polskiej ambasady z pytaniem, czy nie ma w Belgii kogoś, kto mógłby zagrać jakąś kompozycję Chopina jako ilustrację do audycji. Polecono Elżbietę Dedek, która wykonała „Etiudę rewolucyjną” i jak sama mówi – tylko 2 minuty i 40 sekund (gdyż tyle trwa ten utwór) sprawiły, że stała się znana i rozpoznawalna, bo tę audycję TV oglądał niemal każdy Belg, to znaczy 9 milionów widzów! Spotkała wówczas wielu wybitnych ludzi ze świata kultury, sztuki i mecenatu. Posypały się zaproszenia na koncerty i liczne wyjazdy. Podróże przepowiedziała Jej jeszcze w latach młodości w Polsce Cyganika. Podeszła do niej niespodziewanie, wzięła rękę, spojrzała i powiedziała: „będziesz dużo podróżować, poznasz królów, władców, dyplomatów, ważne osobistości”. Przepowiednia się sprawdziła, spotkała między innymi Papieża Jana Pawła II, Madame la Comtesse de Paris, Prince Mura, Maharadżah de Baroda, Maire de Montréal Jean Drapeau, była na dworze króla Belgów Baudouin, Książąt Liechtenstein...

Grała w licznych przedstawicielstwach dyplomatycznych Belgii niemal na całym świecie, w prestiżowych salach jak i też egzotycznych okolicznościach takich jak np. dla Indian Guajairo w Amazonii.

Jednocześnie zajmowała się pracą pedagogiczną. Została mianowana profesorem fortepianu w Akademii w Laeken, Akademii Grétry w Liège, Konserwatorium w Verviers, w Musikschule der Stadt w Aachen. Wyjątkowo cierpliwa, pełna spokoju, wrażliwości i czułości była i jest cenionym nauczycielem muzyki uwielbianym przez uczniów.

Zauroczona osobowością Chopina, jest specjalistką nie tylko Jego muzyki, ale także biografii. Przeczytała wszystko, co tylko napisano o kompozytorze. Odwiedziła wszystkie miejsca, w których przebywał. Jest po prostu kopalnią wiedzy na jego temat, a że ma ogromny talent gawędziarski w przerwach koncertów potrafi w pasjonujący sposób opowiadać dziesiątki anegdot na temat Jego utworów i życia.

Gra też innych kompozytorów. Podziwiała Mozarta, Ravela, Ghyorosa. Najczęściej jed-



nak to publiczność decyduje – jak mówi – „co chce słuchać!!!”. No i najczęściej wybiera Chopina. Nagrała zresztą wiele jego utworów, ale także kompozycje Ravela. Skromnie podkreśla, że jest tylko interpretatorką...

Z pasją opowiada o swoich podróżach i artystycznych przygodach. Np. „Niezwyczajnie było to, że w Egipcie zaskoczeni Egipcjanie nie mogli uwierzyć, że naprawdę noszę nazwisko „Dedek” i to z dziada – pradziada. Myśleli, że to mój pseudonim pianistyczny, gdyż nazwisko moje zapisane hieroglifami przedstawia rysunek obu rąk. Stała się rzecz zabawna, bo podano w gazetach, że „Polska pianistka posiada nazwisko... Dwie Ręce. Jakaż to zbieżność z obrazem rąk pianisty!

Od lat realizuje audycje muzyczne „Cahier de Musique” w radiu frankofońskim RCF Liège – aż pięćdziesiąt dwie w roku, jedną w każdym tygodniu! Nagrała już przeszło 500 programów. Zaprasza na wywiady nie tylko muzyków, ale także ludzi po prostu lubiących muzykę. No i jak mówi, ogromną przyjemność sprawiają jej spotkania z fascynującymi osobami. Często popularyzuje Polaków i osoby polskiego pochodzenia.

Jest Obywatelką Honorową miasta Rawa Mazowiecka i członkiem honorowym Przyjaciół Ziemi Rawskiej, z którą ma powiązania rodzinne. Otrzymała



Elżbieta Dedek z autorką tekstu

także tytuł „Citoyenne d’Honneur” w spisy Nosi Be Madagaskaru, gdyż była osobą, która wykonała pierwszy koncert klasyczny, dokąd sięga pamięć ludzka, w tym odległym miejscu. Od tego czasu rocznie odbywa się na tej wyspie Festiwal Muzyki Klasycznej „Nosi Be Symphonies”, którego została „Marraine”, czyli Matką Chrześną. Zasłużyła sobie na liczne odznaczenia. Otrzymała Srebrny Krzyż Zasługi (Londyn), Odznakę Polonia (Bruksela), wyróżnienie na liście najślawniejszych „Stu Polek” (czasopismo „Pani”), Dyplom Honorowy Stowarzyszenia Kultur Europejskiej

z siedzibą w Wenecji, Order „Palme d’Or de la Couronne” i „Officier de l’Ordre de Leopold II” (Belgia), Nagrodę główną X edycji konkursu „Polak Roku w Belgii”, honorowy dyplom „Asociacion de los Americanos de ilias des Canarias”.

Prywatnie jest osobą pełną uroku osobistego i charyzmy. Wrażliwa, szczerza, spontaniczna, wierna w przyjaźniach. Ma ogromne poczucie humoru. Mieszka w Liège, ma dwójkę dzieci i dziewięcioro wnuków (w tym trójkę adoptowaną przez syna).

Z dumą dodam, że mam szczęście zaliczać się do grona Jej przyjaciół. Od lat grywa na moich przyjęciach, a moi goście z niecierpliwością oczekują na jej koncerty. Jest świetnym fotografem. Stara się utrwać każdą chwilę. Najpiękniejsze zdjęcia ze spotkań u mnie są właśnie jej autorstwa. Wdzięczna Jej jestem, że z dnia na dzień podjęła decyzję zagrania na pogrzebie mojego męża – dziennikarza Fréderic’a François, i to na kościelnych organach, które widziała po raz pierwszy w życiu. Rokrocznie zaprasza do swojego domu przyjaciół na koncerty, na których często popularyzuje młodych muzyków, śpiewających i grających na różnych instrumentach. Wszyscy goście oczekują jednak, kiedy w końcu sama dojdzie do fortepianu, zagra coś z Chopina i opowie znowu jakąś fascynującą historię. ■



**JERZY SKOCZYLAS**

*Pan Zenek wymyślił sobie zajęcie tragikomiczne,  
by stworzyć dla swego rodu drzewo genealogiczne.  
By on tak jak Czartoryscy, Potoccy, Radziwiłłowie,  
miał takie drzewo i widniał na drzewie tym w złotogłowie.  
By stało ono w salonie, gdzie Zenek przyjmuje gości,  
a widząc je, żeby goście wyli dosłownie z zazdrości.  
Udał się więc na plebanię, do magistratu, do gminy,  
by zebrać dokumentację tyjącą jego rodziny.  
I już na samym początku efektem tego zbierania  
był papier, że jego dziadek walczył w okresie powstania.  
Jednakże na dokumencie była notatka pod koniec,  
że dziadek co prawda walczył, niestety nie po tej stronie.  
Za to pradziadek Zenona był synem szlachetnej wdowy  
i nosząc tytuł szlachecki był w stu procentach herbowy,  
ale badając tę sprawę najęty heraldyk stwierdził,  
że pradziad owszem miał tytuł, lecz go niestety podwędził.*

*Została jeszcze prababcia i znów sensacja niemiła,  
bowiem prababcia o zgrozo niedobrze się prowadziła.  
I są dowody owego grzesznego nieprowadzenia,  
bo proboszcz aż siedmiokrotnie nie chciał jej dać rozgrzeszenia.  
Pan Zenek po tym blamażu omal nie stracił rozumu,  
zاتاł się i z rozpaczę pił dwa tygodnie na umór.  
W końcu się jakoś pozbierał, pogodził z martyrologią,  
powiedział: – basta, czas skończyć z przekłętą genealogią.  
Ale nie wszystko stracone, bo kiedy nadeszła pora,  
by weterynarz Zenkowi zaszczepił jego Azora,  
psi lekarz grzebiąc w papierach wyszperał niezbity dowód,  
że Azora Zenka ma świetny, super szlachecki rodowód.  
Zarówno ze strony ojca, jak suczki, ojczulka żony,  
jest czystej rasy czempionem i świetnie jest urodzony.  
I teraz w Zenka salonie rzecz niestychana się dzieje,  
Azor pod drzewem rodowym podnosi nogę i leje.* ■

Macie już wszyscy plany na wakacje? Jeśli nie, to mamy dla was jeszcze dwie ciekawe propozycje, na które możecie jeszcze zdążyć:

Zaproszenie I

## XV Festiwal Biegowy w Piwnicznej-Zdroju



### MARZENA DRZEWIŃSKA-SOON

Zapraszam serdecznie na Festiwal Biegowy w Piwnicznej – Zdroju, jedno z największych wydarzeń sportowych dla rodzin w Polsce. To 3-dniowa impreza skierowana zarówno do amatorów, jak i zawodowych biegaczy, festiwal łączący aktywność fizyczną z rywalizacją sportową. Festiwal przygotowany jest dla osób w różnym wieku i kondycji. Trasy można wybierać wśród 22 dystansów na różnych poziomach wzniesień; liczą one od kilkuset metrów do 104 km, dla najbardziej wytrwałych; odbywają się o różnych porach dnia ale dla szukających większych wyzwań, można pobiec też w nocy. Jest bieg dla dzieci do lat 8 i bieg rodzinny; bieg przebierańców, w szpilkach i krawacie, bieg Lachów i Górali. Jeśli uważacie, że jest za późno, żeby zacząć biegać, za przykład może posłużyć mieszkanka Tarnowa, p. Barbara Prymakowska która 7 listopada 2023 roku skończyła 80 lat, a maratony zaczęła biegać w wieku 58 lat. i biega dalej.

Ale nie każdy lubi biegać – jestem tego najlepszym przykładem. Nie ma się co martwić – dla nas też jest opcja. Można z kijkami wybrać się na którąś z 2 tras Nordic Walking. Piękne krajobrazy Doliny

Popradu ucieszą każde oko i ukoją każdą zbolałą duszę. Rwąca, górską rzeką Poprad, setka odcieni zieleni, spotkania (czasami) ze zwierzętami na trasie, to najlepsze lekarstwo na depresję i smutek. Wspierający się w biegu, uśmiechnięci ludzie, dają nadzieję, wspólnie wylany pot a czasami i łyż rodzą nowe przyjaźnie. Ludzie umawiają się na następne takie eventy, żeby znów stworzyć wspólnotę biegaczy/chodziarzy.

W Festiwalu Biegowym nie chodzi o wygraną, każdy uczestnik otrzyma pamiątkową koszulkę i także medal. Przy okazji każdy uczestnik czy obserwator weźmie jeszcze udział w innych Festiwalach: Lachów i Górali oraz Smaku. Dzięki temu poznasz kulturę i kuchnię Sądecką. A jest ona inna niż górali z innych rejonów Polski. Kim są Lachy Sądeckie a kim Czarni Górale, czym jest Pieróg Łomnicański a czym Placek Pasterski, jak się tańczy Zamiatanego – tego wszystkiego dowiesz się przybywając w dniach 6-8 września do Piwnicznej-Zdroju na XV festiwalowy weekend.

Ale czy można ot tak, wpaść na Festiwal Biegowy bez przygotowania? Spytałem się o to specjalisty biegowego, Rafała Maćkowskiego Ultramaratończyka, skyrunnera, biegacza górskiego. Człowieka, który zna Beskid Sądecki jak własną kieszeń, który wybiegał wiele Islandzkich (!) szczytów i bezdroży.

**Marzena Drzewińska:** Czy każdy może biegać? Jakie są przeciwwskazania?

**Rafał Maćkowski:** Przeciwwskazań do biegania, może być wiele. Różnego rodzaju kontuzje, zapalenia różnych stawów, ale też ludzie z chorobami układu sercowo – naczyniowego,

po zawale i różnorodnych operacjach serca itp. Bieganie to dla organizmu spory wysiłek, szczególnie dla organizmu, który nigdy nic nie trenował, ale pamiętajmy, że mimo wszystko sport to zdrowie! i w każdym wieku możemy zacząć czerpać z niego radość i budować swoją formę co z biegiem czasu przyniesie wiele korzyści.

**MD.** Jak należy się przygotować do takiego biegu, ile czasu potrzebujemy?

**RM.** Jeżeli weźmiemy za przykład bieg ultra na 100 km to jest to dość skomplikowany proces. Tutaj musimy poświęcić już znacznie więcej czasu na przygotowanie. W grę wchodzi dłuższe wybiegania, robienie siły biegowej, rytmów i dużo innych szybkich treningów biegowych. Ja biegając już kilkanaście lat do „setki” rozpocząłem treningi już 8 miesięcy przed planowanym na tym dystansie startem. Oczywiście, biegając już biegi ultra tylko podtrzymujemy formę a nie budujemy ją od podstaw. W biegach ultra ważne jest też żywienie w trakcie. Już w czasie treningów warto wypróbować żele energetyczne, które nie będą nam zalegać na żołądku. Jeśli jednak decydujemy się na pierwszy start to wybierzmy dystans mniejszy. Np 5 km. Trenować wystarczy 2 – 3 razy w tygodniu. Jeżeli kondycja nie pozwala Ci biec cały czas to rób to na zmianę z marszem. Na początek dystans 2 km bardzo spokojnym truchtem. Później między treningi możemy wpleść 1 km biegu, 6 x 100 m rytmy, czyli 100 m szybko 100 m wolno i tak na zmianę. Pamiętajmy, że technika jest bardzo ważna! Jeżeli zadbane o nią na samym początku swojej przygody to ciało wam się kiedyś odwdzięczy.

**MD.** Co daje nam bieganie?

**RM.** Przede wszystkim skuteczne spalanie tkanki tłuszczowej a co za tym idzie lepszą sylwetkę. Poprawiając krążenie krwi, zmniejszamy również ryzyko chorób serca, podnosi poziom endorfiny – hormonu szczęścia. Można również poznać wielu wspaniałych ludzi z pasją do biegania i pozytywną energią. Bieganie w lesie, w górach to obcowanie z przyrodą kiedy na szlaku zostajesz tylko Ty i przyroda, która Cię otacza. To wszystko pozytywnie wpływa na zagrażającą nam depresję i kształtuje charakter.

**MD.** Musimy wiedzieć o czymś jeszcze?

**RM.** Tak! Jest jeszcze jedna ważna rzecz. Szczególnie w biegach ultra. Psychika.



Rafał Maćkowski, nr 440



To trzeba wypracować samemu. Często bieg rozkłada się tak, że przed Tobą ani za Tobą nie ma żadnego biegacza. Jest noc, jesteś w lesie, pokonujesz kilometry z czołówką na głowie. To są duże emocje. A co jeśli po 70 km biegu przychodzi kryzys? Miałem ich wiele i były mniejsze ale też większe, kiedy lży zalewały Ci oczy. Zmęczenie, ból, samotność. Masz ochotę się poddać i to w tym momencie jest test Twojego charakteru. To w tym momencie podejmujesz walkę sam ze sobą! To właśnie w tym momencie udowadniasz jaki

jesteś twardy i mimo tego, że czujesz, że coś wyssało z Ciebie całą energię, coś dalej cię popycha, poruszasz się na przód! To jest najpiękniejsze w biegach Ultra. Ktoś mi kiedyś powiedział. „Samotność długodystansowca też trzeba ćwiczyć”. Po dziś dzień tak uważam.

**MD.** Rafał będziesz biegł ze wszystkimi?

**RM.** W tym roku niestety nie. Organizuję Festiwal Biegowy od strony miasta, ale pracuję też jako Ambasador Festiwalu Biegowego. Z pewnością będzie możliwość spotkać mnie, poznać i porozmawiać

w Miasteczku Biegowym w Piwnicznej – Zdrój albo w górach na trasie. Jest to dla mnie bardzo ważna impreza, bo to na niej padały moje rekordy i rodziły się nowe pomysły na kolejne coraz cięższe wyzwania. Zaczynałem od 1 km. Teraz 100 km jest barierą spokojnie do przeskoczenia.

**MD.** Dziękuję Ci Rafale za rozmowę i do zobaczenia w terenie!

**RM.** Bardzo dziękuję! Do zobaczenia! Wszelkie informacje i rejestrację do biegu można znaleźć na stronie: <https://m.festiwalbiegowy.pl/>

## Zaproszenie II

# „I ty możesz zostać wolontariuszem”

### MARZENA DRZEWIŃSKA-SOON

Institu Polonika, to niezwykła Instytucja, zjawisko na kulturalno – historyczno – konserwatorskiej mapie Polski. Właśnie tym wszystkim się zajmuje w aspekcie Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą czyli dotyczy poloników całego świata I bardziej lub mniej znanych dokonań polskich artystów, inżynierów, kolekcjonerów I wielu, wielu innych. Jakie zostawili po sobie skarby nasi rodacy, można dopiero się dowiedzieć wchodząc na stronę internetową Instytutu. I przy każdej przeglądanej zakładce nasza duma z pochodzenia rośnie I rośnie. Dokonania naszych rodaków w świecie są zaprawdę ogromne, a znamy ich zaledwie mały skrawek, niewielką część. Na szczęście instytucja, która powstała w 2017 roku dokonuje tytanicznej wręcz pracy w odkrywaniu tego, co zostawili po sobie nasi przodkowie. A każdy z nas może mieć w tym swój udział.

Od 2019 roku działa grant własny Instytutu „Wolontariat”. Od tego też roku Towarzystwo Rozwoju Piwnicznej, którego jestem Prezesem, bierze w nim udział. Odkrywaliśmy tajemniczych I nie zawsze znanych Polskich mieszkańców Krzywego Jeziora (obwód Mikołajewski) i Krakowca (obwód lwowski). Na tamtejszych cmentarzach gościliśmy 2 - krotne. Poznawaliśmy ich historię I dzień dzisiejszy. Pozyskaliśmy też fundusze na konserwację zabytkowej Monstrancji z kościoła św. Ludwika w Krzywym Jeziorze. Dzięki dofinansowaniu Instytutu Polonika i prośbie polskiej parafii w Nowym Mieście w Ukrainie, której proboszcz administruje 3 kościoły i 7 cmentarzy (!) w tym roku, po raz kolejny wyjeżdżamy wspomóc tamtejszą społeczność. Zamieszkuje tam niewielu, leczonych już Polaków. Dzięki nim, z bezpośrednich relacji można poznać historie dawnych kre-



sów Rzeczypospolitej. Będziemy na polsko - ukraińskim pograniczu, ok. 40 km od Przemysła. Cały czas monitorujemy sytuację na froncie, od którego jesteśmy ponad 800 km. Zachowujemy najwyższe środki ostrożności. Pracowaliśmy w Ukrainie też w roku ubiegłym, kiedy niestety trwała już wojna. Dlatego, dopóki nie zapanuje pokój, wybieramy miejsca tylko na pograniczu, skąd w każdej chwili możemy wrócić do domu.

Do udziału w projekcie zapraszamy osoby pełnoletnie. Gwarantujemy noclegi i wyżywienie w lokalnym standardzie oraz transport - do ustalenia. Dwa razy gościliśmy już osoby z Holandii, w razie potrzeby mówię po niderlandzku, więc mogę wspomóc też językowo.

Pobyt w Ukrainie to niewątpliwie wyzwanie, zwłaszcza teraz, ale I nie zapominam wrażenia. To mój kolejny, nie pamiętam już który tam wyjazd. Oprócz prac na cmentarzach, jak tylko mogę jeżdżę tam również z pomocą humanitarną. Porozumiewam się w języku ukraińskim, staram się najlepiej jak mogę zaopiekować każdym z uczestników projektu, który będzie trwał w terminie od 3 - 17 sierpnia, 2 tygodnie, ale jeśli ktoś chce, może przyjechać tylko na kilka dni. Niezbędny jest paszport. Zabezpieczamy też sprzęt do pracy.

Kontakt do organizatora: 501 617 514 lub [trp.piwniczna@gmail.com](mailto:trp.piwniczna@gmail.com).

# Samotność z wyboru



**ALICJA GRYGIERCZYK**

To zaczęło się już przed wyruszeniem w trasę do Santiago de Compostela.

Moja przyjaciółka zaproponowała że pójdzie ze mną, a ja poczułam dyskomfort, a zaraz potem zaskoczenie tym dyskomfortem. Przecież szliśmy kiedyś razem Jurą Krakowsko-Częstochowską i chciałyśmy taką wędrowkę powtórzyć jak tylko nadarzy się okazja. I właśnie była okazja. Jednak gdzieś z oddali jakiś głos szeptał mi: – sama, sama, idź tylko sama. Poszłam za tym głosem, bo nie sposób było za nim nie pójść. Słuchając go czułam coś, za czym chyba podświadomie bardzo tęskniłam: błogi spokój.



Już pierwszego dnia na pierwszym odcinku tej trasy w Hiszpanii wdzięczna byłam samej sobie że wędruję sama. Miałam jednak towarzysza. Był nim zachwyty. Nie opuścił mnie do końca. Trasa prowadziła wzdłuż błękitnego morza o skalistych wybrzeżach zmieniających się co krok. Była piękna i urozmaicona. W dole.

od morza wiał lekki orzeźwiający wiatr, a fale uderzające o klify tworzyły specyficzną muzykę: burzliwą, a jednocześnie kojącą. Z każdym kilometrem inną, wyzwalającą emocje a zaraz potem je tonującą. To było jak wdech i wydech medytującego wszechświata. Od czasu do czasu zatrzymywałam się żeby dłużej posłuchać, bo wiedziałam że jest to nie do odtworzenia, że słyszę to po raz pierwszy i ostatni. Celebrowałam każdy dzień, a kiedy kładłam się spać, byłam jak dziecko, które nie może doczekać się rana, ciekawe co przyniesie dzień. A następnego dnia przynosił nową porcję wrażeń: droga wśród rokitnika, trochę oddalona od morza, na drodze skrzynka z cytrynami a na niej napis "częstujcie się pielgrzymi", potem wąska ścieżka wśród paproci wyższych ode mnie i widok na góry. Jakaż inna energia! Tutaj już nie słyszałam morza, ale był widok gór który mnie koił i otulał. I była samotność od której całe życie uciekałam, a teraz tak dobrze z nią się czułam. Jak nigdy dotąd doświadczałam jedności z naturą i wszechświatem.

Piszę to już po powrocie do domu. Niedługo wrócę do ludzi, ale chcę jeszcze trochę pobyc sama, sama....

## Szanowni Czytelnicy,

W związku z planowanym przez PNKV wydaniem książki „Kulturalno-edukacyjna aktywność środowisk polonijnych w Holandii w latach 1989-2019” zwracam się z prośbą o mecenat. Różnorodność propozycji i aktywność polonijnych organizacji dowodzi, że niezależnie od okoliczności my, członkowie Polonii możemy być dumni z naszej przeszłości i terażniejszości w kraju, który obraliśmy za naszą drugą Ojczyznę. I o tym jest ta książka, o nas samych i naszej działalności!

Darowizna od Państwa na poniższe konto ułatwi nam jej wydanie, a Darczyńcy kwoty 35 euro (lub większej) otrzymają książkę w prezencie:

**NL75 INGB 0000 0060 42 t.n.v.**

**PNKV-boekenservice z dopiskiem „Polonia”**

Autorka, Grażyna Gramza





# Lato pełne słońca



**MAREK GRĄDZKI**

No i przyszło lato. Przyszło do Polski a człowiek się czuje jakby się do Afryki przeniósł. Ciągła huśtawka, raz w jedną i na termometrze ponad trzydzieści gradusów, za chwilę dwadzieścia poprzedzona ulewą i nie daj Panie Boże gradem. I jak tu żyć! No niestety nie ma wyjścia i z takim stanem rzeczy musimy się pogodzić. Jedni mówią, że sami sobie zgotowaliśmy ten los, inni że nieprawda i to normalna, nienormalna kolej rzeczy. Nie mnie rozstrzygać, za małym i z misiowym rozumkiem pojąć tego nie dam rady. Wiem jedno – Wielkopolska już nie stepowieje a pustynnieje! Prowadzenie racjonalnej gospodarki na moich ziemiach staje się coraz trudniejsze, a przecież karmę moim kozom i owcom zapewnić muszę. W te upały to w biesiadowniku nikt do golonki, mimo że pyszna też nikt się nie chce. Dlatego też przerwaliśmy się na chłodniki. Wśród nich prym rzecz jasna wiedzie nie wiadomo dlaczego zwany litewskim, chyba z przyzwyczajenia po mickiewiczowskim Panu Tadeuszu. On przecież nasz, wielkopolski i z tego co na naszej ziemi urosło skomponowany. Najpierw rzecz jasna boćwina, ta czerwonozielona łądzka zostaje zsiekana, potem skrojone w kosteczkę młode buraczki. Ten składnik trzeba lekko zagotować, jeno po to by stracił trochę ze smaku surowości. Do osobnej miski idą małosolne ogórki uczynione według mojego przepisu, potem konserwowe, za nimi rzodkiewka, papryka w różnych kolorach i na koniec zieleniny różnorakie, których bogactwo dostarcza przybieszny ogródek. Są wśród nich szczypiory cienkie i grube, rukola, lubczyk, listki i kwiaty lebidki, do tego trochę listków młodej mięty. Gdy to wszystko gotowe trafia do jednego garnca i zostaje zalane mleczną mieszkanką, w której skład wchodzi kefir, jogurt, a ponieważ całość sprawia wrażenie bardzo gęstej, jest rozciągana moją, kozią serwatką. Teraz wystarczy garniec wynieść do chłodni gdzie musi co najmniej dobrych kilka godzin postać by smaki sobą na wzajem przeszły. Gdy nalewamy chłodnik do miseczek na wierzch idzie połówka ugotowanego na twardo jajka. W te upały danie to nie dość, że przyjemnie gardło chłodzi to jeszcze zgłodniałego

gościa syci. Patrząc na skład to samo zdrowie, witamina witaminą pogania, na żołądku za długo nie zalega więc po drobnej chwili można przystąpić do konsumpcji drugiego dania. Ja polecam porcję suma wyłowionego z jeziora Chłop koło Trzciela, gdzie woda na zerowy stopień czystości. Ten zaś Moje Ślubne Szczę-

ście przyrządza na grzybowym sosie z grzybów zebranych w nowotomyskich lasach. Tak więc nie pozostaje mi nic innego jak zaprosić Cię Szanowny Czytelniku do Linia w Ogniu w każdą sobotę i niedzielę. Adres znajdziesz gdy wrzucisz nazwę do google, ten też trasę Ci wyznaczy. Czekamy!!!



Anna Nowaczyk

## Gdy chodzi o przestrzeń

*Gdy chodzi o przestrzeń – zazdrość ptakom, co nad Tobą lecą,  
gdy smutek przychodzi, odpędź zmyły, które myśli szpecą.*

*Gdy chodzi o wolność, zagładnij w głąb siebie, tam ona.*

*Rzecz idzie o horyzont – przestrzeń wyzwolona  
nakłada barwy na słońce ogniste,*

*ubiera sny mroczne w kolory soczyste.*

*Głód skoków im wyższe, tym większy powstaje.*

*Twa wola w oddechu zamykać się zdaje,  
z ciasnego kokonu skrzydła rozpościera  
i lotu nie wstrzyma klatka ni bariera.*

*Choć granice się zdają być niemożliwymi,  
pokora potrzebna, by zmierzyć się z nimi.*

*Gdy życie twe w ciemność kieruje swą jazdę,  
otwórz przed nią okno, ujrzysz swoją gwiazdę.*



Różanka 17.02.2014

# Inne drzewo



## ALEK SILBER

A przy tym Pan Bóg dał człowiekowi taki rozkaz: «Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania; ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz»

Księga Rodzaju 2/16 – 17

Doskonale pamiętam dzień, w którym mnie tu posadzono. Mżył jesienny deszczyk, tak jak dzisiaj, ziemia była miękka i pulchna. Miałem wtedy zaledwie półtora metra wzrostu, byłem chudy i wąty, ale zdrowy i pogodny. Pusto tu było wokoło, zaledwie kilka krzaków, w oddali jakaś zagubiona ławka, przy skrzyżowaniu ścieżek stał wiekowy cokół, na nim radosny cherubinek. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał gdzieś pofrunąć i przynieść komuś szczęście. Ale zacznijmy od początku, to bardzo ważne.

Na lekcji biologii uczniowie czwartej klasy posadzili w doniczkach nasiona drzew. Każde dziecko dbało o swoją roślinkę, którą należało podlewać i usuwać niepożądane muszki. Pod opieką nauczycielki dzieci chętnie wykonywały swoje obowiązki, nic więc dziwnego, że drzewka rosły niczym przysłowiowe grzyby po deszczu. Moją opiekunką była Iwonka. Swoje zadanie wykonywała z zapalem, codziennie sprawdzając, jak bardzo wyrosłem i czy czegoś mi nie brakuje. Aż nadszedł dzień, kiedy przewieziono już pokaźne drzewka do parku, gdzie miało się rozpocząć nasze samodzielne życie. Nauczycielka pomagała dzieciom kopać dołki, które skrzętnie wykładano czarnoziemem i nawozami. W ten sposób dotąd pusta część parku wypełniła się młodym laskiem.

Choć od tego czasu minęły cztery lata, Iwona odwiedza mnie regularnie; kiedy jest sucho, przychodzi z konewką, jak mnie oblażą muszki, spryskuje specjalnym płynem. Nigdy nie omieszka mnie objąć i powiedzieć miłe słowo. Wiem, czuję, że czeka na moją odpowiedź, toteż odpowiadam, że jest moim najbliższym przyjacielem i że ją uwielbiam. Wprawdzie drzewa mówią innym językiem niż ludzie, ale gotów jestem

przysiąc, że mnie słyszy i rozumie. Odkąd postawili obok ławkę, siada sobie, lubi podnosić głowę do góry, by patrzeć na moje gałęzie i liście. Toteż macham jej przyjaźnie, a ona się śmieje. Ale co to? Właśnie idzie tutaj, tym razem nie sama, a z chłopcem. On coś opowiada, gestykulując, ona wskazuje na mnie i na ławkę. Śmieją się. Zaraz siądą, a więc sza, posłucham, co mówią.

– Wiesz, że to jest moje drzewko?

– Wiem, opowiadałaś mi o nim, ale nie wiedziałem, że jest to lipa, że taka duża i taka ładna.

– Nazywa się Orzeł – z dumą powiedziała Iwona.

– Coś ty głupia, przecież drzewa nie potrafią latać, stoją w miejscu jak... drzewa.

– Dokładnie, właśnie dlatego tak je nazywałam, żeby mu zrekompensować tę ułomność.

– A drzewo o tym wie?

– No pewnie, zawsze sobie rozmawiamy.

– Ty rozmawiasz z drzewami?

– Nie, tylko z Orłem.

– A mogłabyś porozmawiać z moim butem? Iwona śmieje się, patrząc to na chłopca to na jego buty – głupia.

– Uwielbiam twój śmiech. Iwona się czerwieni – Piotrek...

– A książkę przyniosłaś?

– Przyniosłam – wyjęła książkę z plecaka i trzymając ją za plecami, patrzyła zalotnie na Piotra.

– No to mi ją daj.

– To sobie weź.

Powiedziała, nadal trzymając książkę za plecami. Próbując przechwycić książkę, Piotrek objął Kasie oboma rękoma, ich

twarze zbliżyły się do siebie, poczuli ciepło swoich oddechów. Stopniowo szarpalina ustała i przerodziła się w pocałunek. Książka spadła za ławkę i teraz Iwona objęła chłopca. Zieleń liści i błękit nieba zniknęły za jej zamkniętymi powiekami. Piotrek czuł zapach jej skóry i smak ust, miękkich, wilgotnych, upragnionych... Chciał coś powiedzieć, ale ona położyła mu palec na ustach. Nagle podmuch wiatru zaszumiał w gałęziach, wystraszone gołębie poderwały się do lotu. Świat stanął w miejscu. Piotr patrzył na swoją dziewczynę, nie mogąc powstrzymać zachwytu. Ona zaczerwieniona spuściła wzrok i wyszeptala – to był mój pierwszy raz.

– Mój też.

\*\*\*

Trudno powiedzieć ile lat minęło od tego wydarzenia, chyba sporo. Pewne jest, że urosłem, a moja korona stała się jeszcze bardziej obfita. Sąsiednie drzewa wyrosły wraz ze mną, razem stanowimy radosny zakątek parku. Na dodatek w międzyczasie wykopali przed nami wielki dół, zalali wodą i mamy piękny staw. Pływają po nim kaczkę i łabędzie, a i trochę ryb zadomowiło się w jego głębinie. Moja opiekunka Iwona często tu przychodzi i dba o mnie, chociaż zdarzają się i długie przerwy. Trudno się dziwić, to już panna, ma inne rzeczy w głowie. Takie latanie po świecie nam drzewom jest trudno zrozumieć. Z oczywistych względów prowadzimy życie stacjonarne, ale nie jest to bynajmniej powodem do żalu czy wymówek. Wręcz przeciwnie, kto jeszcze jest w stanie tak przyglądać się światu, jak my. Świat ten może jest niewielki, ale





przecież jakże bogaty, można by powiedzieć mikrokosmos w pigułce.

Latami chłopcy przychodzą z siatkami łapać kijanki, są i tacy, którzy puszczają na wodzie motorowe łódki. Zimą przychodzą tu z łyżwami i jeżdżą po zamrożonym stawie. Nasz zakątek jest ulubionym miejscem mamusiek z wózkami, przychodzą także babcie z wnukami oraz zakochane pary. Późnym wieczorem i pijaczki odbijają tu butelkę. Raz nawet była tu bójka i przyjechała policja. Oczywiście listopadową słońca robi się ciszej, przyznam szczerze trochę markotno, wtedy tam w górę sięgam gałęziami do sąsiednich drzew i razem kołyszę się na wietrze.

Jesień w tym roku przyszła wcześniej. Zieleń ustąpiła miejsca cieplejszym barwom, chociaż liście jeszcze nie opadły i nadal osłaniają ławkę pod spodem. W takie dni jak dzisiaj, kiedy leje jak z cebra, ludzie często schraniają się pod moją koronę. O właśnie biegną w moją stronę dwie kobiety, trzymając parasol nad głową, zręcznie omijają kałuże. Ale przecież to Iwona i jej koleżanka.

– Ale leje – powiedziała Iwona, siadając na ławce.

– Jakby się chmura zerwała – odpowiedziała Agnieszka – ale patrz, ławka jest zupełnie sucha.

– Mówiłam ci, że pod moim drzewkiem...

– Wiem, wiem, już się nie chwal. Lepiej opowiadaj i pokaż mi rękę – Agnieszka wzięła rękę przyjaciółki – wow! Ale się Piotrek postawił! Mów, jak to było?

– Po prostu, w środę powiedział „chodź, pójdziemy na spacer do parku, tam pod twoje drzewo”. Coś podejrzewałam. To bo było dokładnie siedem lat od... no wiesz...

– Nie, nie wiem.

– Od naszego pierwszego pocałunku, dokładnie tutaj, na tej ławce.

– No i co?

– Siedliśmy, Piotrek udawał, że jest cool, ale im bardziej udawał, tym bardziej mu to nie wychodziło. Widziałam, że coś jest na rzeczy. Chciał coś powiedzieć, potem odwrócił głowę, szurał nogą po trawie. Patrzyłam na to z uśmiechem, uwielbiam go, kiedy jest taki zmieszany, bo zwykle jest pewny siebie, a tylko w takich momentach jak gdyby obnaża swoją słabość. Do mnie...

– Ale do sedna.

– W końcu powiedział „podaj mi rękę i zamknij oczy”. Sama jesteś dziewczyną, wiesz,

co kobieta czuje w takiej chwili. Przez chwilę zmagaliśmy się nieporęcznie, widocznie nie mógł otworzyć pudełka. W końcu poczułam ciepły chłód metalu na swoim palcu. „Jeszcze nie otwieraj oczu” powiedział i pocałował mnie tak jak wtedy. Aż zdrzą-

łam. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy i zobaczyłam... no sama widzisz.

– Super. To prawdziwy diament?

– Chyba żartujesz, oczywiście.

– A skąd on wziął taką kasę?

– Pojęcia nie mam. Może jakieś stare złoto po babci, bo Piotrek milionerem nie jest.

– Nieważne. Grunt, że cię kocha. Ciesz się swoją radością. Kiedy ślub?

– Tego jeszcze nie ustaliliśmy, zresztą, czy to ma znaczenie?

\*\*\*

Drzewa w parku mają jeszcze jeden przywilej, mogą śledzić ludzkie losy. Wiadomo, my jesteśmy naturalnie przywiązani do miejsca, ale o dziwo, ludzie, którzy przecież mogą się poruszać i wędrować po świecie, lubią chodzić utartymi ścieżkami. Na przykład co niedziela przychodzi tu staruszek, wychodzi z alejki po prawej stronie, zatrzymuje się przy cherubinku, patrzy na niego, jakby go widział po raz pierwszy i z podziwem kiwa głową. Może mu przypomina jego własną młodość? Może chodził po tym parku ze swoją dziewczyną? Może potem gdzieś przepadła? Może zginęła na wojnie?

Albo grupa chłopczków, pewnie przychodzą tu po szkole, bo noszą tornistry. Często przynoszą piłkę, z dwóch tornistrów robią bramkę i grają „do jednej budy”. Lubie słuchać, jak się przekomarzają, chociaż czasami rzucają słowa, które dla drzewa brzmią zbyt ostro. Raz przyszedł z nimi jakiś starszy kolega z finką i pokazał im nową zabawę: rzucanie nożem w drzewo, czyli... we mnie. Na szczęście na ogół nie trafiali, ale gdy ciężka finka wbijała się w konar, zwiąłem się z bólu. Kiedy później zawiesili mi na gałęzi huśtawkę, to nawet byłem zadowolony, bo przestali rzucać finką.

Oczywiście moim najmilszym gościem jest Iwona. Kilka lat temu była długa przerwa, ale za to teraz przychodzi ze swoją córeczką Marylką. To mała trzpiotka. Podobnie jak jej mama, zawsze jest uśmiechnięta i pełna życia. Kiedy siadają na mojej ławce, to chciałbym je objąć i przytulić, ale moje gałęzie są za wysoko. Za to mogę je chronić od słońca i deszczu, a w lipcu odurzyć zapachem swoich kwiatów. Powiadają, że dobrą myśl można kogoś przywołać. To prawda, bo oto i one.

– Mamusiu, chodź, siądziemy pod naszym drzewkiem!

– Oczywiście, ale najpierw je obejmę. Pamiętasz, mama posadziła to drzewo, kiedy była mała.

– Taka jak ja?

– No nie, trochę starsza. Chodź, powiem ci coś na ucho – Marylka podbiegła do mamy, Iwona szepnęła jej parę słów, co ją bardzo rozśmieszyło.

– Jak to Orzeł? Przecież drzewo nie lata.

– A skąd wiesz? Może w głębi nocy, kiedy ty i cały świat śpicie, unosi się nad ziemię i fruwa nad parkiem.

– Mama, co ty mówisz? A korzenie, a gałęzie?

– Korzenie wciąga w siebie, a gałęziami macha niczym skrzydłami – dziewczynka niepewnie patrzy na mamę – bujasz mnie – Marylka wstaje i podbiega do drzewa.

– Podejdz bliżej, to ci wyjaśnię.

Mała podchodzi do ławki, Iwona obejmuje ją i całuje w szyję. Marylka śmieje się – to laskocze! Dziewczynka wyrwa się z objęcia i podbiega do huśtawki – a teraz mnie pobujaj.

Iwona staje z tyłu i popycha Marylkę. Ta wykrzykuje przy każdym wzniesieniu – wyżej, wyżej!

– Trzymaj się mocno.

– Trzymam.

– A teraz zamknij oczy.

– Boje się.

– Trzymaj się mocno i zamknij oczy, choć na chwilę.

Marylka zamyka oczy – ojej jak fajnie! Pchaj mocniej, lecę do nieba!

W tym momencie spadła z drzewa duża gałąź, na szczęście była po przeciwnej stronie huśtawki i Marylka też spadła na ziemię. Dziecko w płacz. Matka podbiegła do niej. Na szczęście mała spadła na trawę i tylko lekko drasnęła kolana. Bardziej przestraszona niż w bólu nie mogła się uspokoić. Ostatecznie pocałunki matki i ciche słowa wysuszyły łzy.

– Chodź, pójdziemy do domu – powiedziała Iwona. Była bardzo zaniepokojona, bo nie wierzy, że przypadki zdarzają się ot tak. Rzeczy dzieją się z przyczyny. Ta gałąź... co to mogło oznaczać?

Minęły lata, a ten incydent po dziś dzień spędza mi sen z powiek. Moja najdroższa przyjaciółka i jej kochana córeczka... przecież mogłem je zabić. Ja wiem, to nie ja, a moja gałąź, której przecież nie kontroluję, ale sąd by orzekł, że to moja wina, że mogłem poczekać, aż nikogo nie będzie w pobliżu. Ze zmartwienia zaczęły mi obumierać gałęzie i pewnie już dawno skończyłbym jako opał do kominków, gdyby nie stary dąb. On był już wielkim drzewem, kiedy mnie Iwona posadziła. Wiele widział i przeżył. Pamięta wojnę, okupację przez jednych i drugich. Widział łapanki, paru młodych mężczyzn rozstrzelali pod jego koroną...

Właściwie tylko raz się rozczulił tymi wspomnieniami i już potem nigdy do nich nie wracał. Stary dąb jest tu pośród młodszych drzew mentorem, opiekunem i źródłem wszelkich mądrości. To właśnie on

c.d. na str. 20 >>>

»»» c.d. ze str. 19

znalazł pocieszenie na moje poczucie winy. „Po pierwsze” – powiedział – „poza małym zadrapaniem dziewczynki, nikomu się nic nie stało. Po drugie, a to jest bardzo ważne, nie było u ciebie intencji zbrodni. A więc i przed sądem ludzkim, który osądza po skutkach i przed sądem boskim, który osądza po intencjach, jesteś niewinny”. Przekonał mnie tym wywodem i uspokoił, chociaż niekiedy w czasie snu drżą mi gałęzie. Iwona nadal tu przychodzi i siada pod drzewem, ale zawsze najpierw spogląda do góry, sprawdza, czy nie wisi tam jakieś niebezpieczeństwo.

Czas robi swoje, u Iwonki pojawiły się pojedyncze siwe włosy, na skroniach pierwsze zmarszczki. Huśtawki nie ma już od lat, może to i lepiej, bo ona jednak nadwyręzała gałąź. Dzisiaj znowu je widzę, idą wolno w moim kierunku, jakby niepewne albo zmęczone. Agnieszki nie widziałem już od wieków, teraz słucha uważnie Iwony. Ona mówi wolno, kiedy siadają, widzę, że ma zapłakane oczy.

– Chodź, siądziemy tu w cieniu pod lipą – powiedziała Agnieszka.

– Wiesz, że to jest „moje” drzewo.

– Oczywiście, jak bym mogła zapomnieć.

– Nie przypadkowo zaproponowałam, że byśmy tu przyszły. – Jakaś specjalna okazja?

– Tak, dokładnie dzisiaj minęło dwadzieścia lat... Siedziałam na tej samej ławce, potem huśtałam Marylkę, tu wisiła huśtawka. Nagle usłyszałam głośny trzask. Opadła duża gałąź pociągając za sobą huśtawkę z małą. Na szczęście, skończyło się na strachu i małym zadrapaniu. Ale ja popadłam w panikę. Przeczucie... znasz mnie, wiesz, że jestem uczulona na takie przypadki. I dziwisz się?

Złapałam Marylkę za rękę i biegiem do domu. Akurat tego dnia Krzysztof pracował w mieszkaniu. Zwykle rano robiliśmy sobie kawkę, nawet byłam trochę spóźniona. Szłam pospiesznie, co chwila, zrywając się do biegu. Biedna Marylka ledwo nadążyła, ale ta gałąź nie dawała mi spokoju. Wreszcie dotarliśmy do naszej ulicy. Możesz sobie wyobrazić moje przerażenie, kiedy przed naszym budynkiem zobaczyłam wóz straży pożarnej. Kolorowe światła mięgały jak szalone. Wyciągnięta drabina sięgała balkonu na czwartym piętrze. Z okien naszego mieszkania i z tego pod nami unosiły się kłęby ciemnego dymu. Po chwili na balkonie ukazało się dwóch strażaków. Nieśli nieruchome ciało. Piotra...

Iwona nie mogła dalej mówić. Agnieszka objęła ją i przytuliła do siebie. Długo siedziały nieruchomo. Nad ich głowami łagodny wiatr muskał żółte liście, był to jedyny odgłos w pustym parku. Dopiero po czasie Iwona podniosła głowę.

– Później się dowiedziałam, że wybuchł piec gazowy u sąsiadów pod nami. Ogień

rozprzestrzenił się w zawrotnym tempie, nie było czasu na ucieczkę...

– Iwona przetarła oczy.

– Piotrek był moją wielką i jedyną miłością. Czy uwierzysz, że to tu na tej ławce pocałowaliśmy się pierwszy raz – uśmiechnęła się smutno – tak naprawdę to ja go sprowokowałam. Jak wiesz, chłopcy są opóźnieni w rozwoju. I jak ci już mówiłam, również tutaj się oświadczył. A teraz na tej ławce go wspominam.

– Dwadzieścia lat to kawał czasu, nie próbowałaś znaleźć nowego partnera?

– Były takie próby, ale wszystkie skończyły się fiaskiem. Ja każdego faceta porównywałam z Piotrkim i oczywiście żaden mu nie dorównywał. Oni to czuli i ja też. W końcu zrezygnowałam z dalszych prób, już tak pozostanę. Ale ja tak gadam, gadam, a powiedz, jak się tobie ułożyło życie? Przecież nie widziałyśmy się od lat.

– Pamiętasz, wyjechałam z Wojtkiem do Kanady.

– Tak, zaraz po urodzeniu Marylki, czyli przeszło ćwierć wieku temu.

– Gdzieś tak. Wierz mi, swoje przeszłam, nocy by nie starczyło, żeby wszystko opowiedzieć.

– Ale dlaczego tak długo cię tu nie było?

– To oddzielna historia. Najpierw straciłam paszport, potem różne sprawy rodzinne, powiem ci kiedyś przy lampce wina. Dzisiaj mówmy o tobie, przecież to twoja rocznica.

Z góry spadł żółto – czerwony liść. Wolno opadał, aż wylądował na kolanie Iwony – już jesień – powiedziała.

\*\*\*

Patrząc na świat, widzę tych samych ludzi. Najpierw przychodzą młodzi, radośni, potem się zakochują, zakładają domy, rodziny. Z czasem przybywa im kilogramów, a ubywa włosów. Mamusie stają się babciami, wnuki trzebiocą niewinną radością, chociaż przyjdzie im uronić łezkę, kiedy babcia odejdzie...

Nie mogę powiedzieć, że posiadałem mądrość starego dębu, ale z latami rośnie mój arsenał wiedzy, jak pewnie u każdego. Myślę, że mądrość to połączenie życiowych doświadczeń z umiejętnością ich interpretacji i wyciągania wniosków. Dlatego pewnie we wszystkich kulturach mędracy byli zawsze starszyzną, a my, drzewa wprawdzie się nie ruszamy, ale za to długo żyjemy. W sumie to pewnie na jedno wychodzi jak to w przyrodzie.

Patrząc, jak moja ukochana Iwonka stopniowo przechodzi przez nieunikniony cykl życia i smutno mi, jak sobie pomyślę, co ją czeka. Co wszystkich czeka, włącznie ze starym dębem i... mną samym

Zupełnie nie mam pojęcia, co mnie tak naszło, bo jest przecież środek lipca, a lato w tym roku mamy wspaniałe. Kwiaty się

rozbuchały i piękną wonią zalewają park. Młode pary stanowczo przejęły pałeczkę od seniorów i z cichym chichotem spacerują ocienionymi alejkami. Biedny cherubinek nie podąży z napinaniem łuku, aż świszczy w powietrzu od lecących strzał. Niestety, już nie dla Iwonki a jeszcze nie dla małego Maciusia. Ale, o wilku mowa... Idą prosto do mnie, mały pędzi kłusem, za nim statecznym krokiem babcia Iwona

– Maciuś, nie biegnij tak szybko, bo upadniesz! I nie po kwiatkach!

– Kiedy ja właśnie tak lubię.

Iwona siada na ławce i zakłada okulary – chodź tu do mnie, chcę ci coś powiedzieć – chłopiec siada obok babci.

– Pamiętasz, jak zimą byłś chory, miałeś kaszel i temperaturę?

– Pamiętam.

– A pamiętasz, czym cię babcia leczyła?

– Nie bardzo.

– Nie pamiętasz? Dawałam ci w kubku wywar z kwiatków.

– Co to jest wywar?

– To taka herbatka z ziół.

– Trochę pamiętam.

– To bardzo dobre lekarstwo zrobione z kwiatów lipy, które właśnie tutaj leżą na ziemi. Dlatego nie chcę, żebyś je deptał, lepiej je pozbieraj do koszyczka.

– Maluch zrobił mądrą minę, chwilę się zastanawiał, wreszcie zapytał:

– A co mi dasz, jak nazbieram cały koszyk?

– A co chcesz?

– Loda. Czekoladowego.

– Dostaniesz loda.

Maciek z zapalem zabrał się do zbierania, ale już po chwili ponownie przysiadł się do babci.

– A może zamiast loda kupiłabyś mi Lego, taką raketę z pilotem?

– Dobrze, ale jak nie będziesz zbierał, to nic nie dostaniesz.

Maciek zebrał parę kwitków i po chwili znowu usiadł przy babci.

– A może byś mi kupiła psa?

– O to musisz poprosić rodziców. Ale jak tak dalej pójdzie, to nie dostaniesz nawet lodów.

Maciek zaczął głośno babcie po ręce i stroić błagalne miny.

\*\*\*

I znowu mamy wiosnę! Drzewa pokrywają się zielonym liściem, tym jasnym, świeżym, wiosennym. Ileż to ja już tych wiosen przeżyłem i ciągle jestem młody. Może niewiele podróżowałem, po świecie, nie jeździłem do dalekich krajów, ale po co? Przecież to świat przychodzi do mnie, przewija się barwnym kalejdoskopem ludzi i a także ptaków i zwierząt, głównie psów. Dobrze być drzewem, zwłaszcza w parku, gdzie jednak nie wyrąbują.



Przyjaźnie z drzewami są długoletnią podporą, stoją tam, gdzie stały od zawsze, zwłaszcza stary dąb. Gorzej jest z ludźmi, ci przychodzą, a potem znikają, bez pożegnania, bez anonsu.

Jeszcze w sobotę karmili gołębie, a od niedzieli już ich nie ma. Martwię się o moją Iwonkę, nie widziałem jej już od kilku lat, a kiedy tu była ostatnim razem, to muszę przyznać, nie wyglądała najlepiej. Kaszlała, z trudem siadała na ławkę i nawet nie podeszła mnie objąć, co z reguły robiła. W tych momentach robiło mi się cieplej i wiem, że ona też czuła przypływ energii. Marylka jakoś nie przyjęła po mamie sentymentu do ławeczki pod lipą, natomiast ten mały łobuziak Maciuś lubi mnie czasami odwiedzać. Oczywiście „mały Maciuś” jest już dużym Maciejem i sądząc po łagodnym usposobieniu, chyba przestał być łobuziakiem. Dobrze to i trochę szkoda.

Już wiele razy udało mi się myśłą przyciągnąć do siebie ludzi. Zapytałem stary dąb, czy tak potrafią wszystkie drzewa. Odpowiedział, że nie, że tylko te, które mają emocjonalny kontakt z tymi ludźmi. Bardzo mnie tym pokrzepił na duchu. Kie-

dy tak rozmyślałem, nagle usłyszałem znajomy głos, ktoś się zbliżał z bocznej alejki. Dopiero dotarło to do mnie po chwili, jakże go mogłem nie poznać, przecież to był Maciek ze swoją dziewczyną.

– Nie wiem, czy ci już mówiłem, że to babcia posadziła to drzewo, kiedy miała 12 lat.

– Ależ to kawał czasu – odpowiedziała Justyna.

– Dużo mi o nim opowiadała. Twierdziła, że wszystkie ważne wydarzenia w jej życiu związane były z tą piękną lipą. Na tej ławce miała swój pierwszy pocałunek z dziadkiem Piotrem, tutaj się jej oświadczył i tutaj przeżyła jego śmierć...

– Jak to? Nie rozumiem.

– Była tu z mamą, wtedy małą dziewczynką. Marylka huśtała się tu na huśtawce, aż nagle odłamała się gałąź, dziewczynka upadła na ziemię, na szczęście nic sobie nie zrobiła, ale babcia miała jakąś intuicję, że był to zły omen. Chwyliła córkę za rękę i pobiegła do domu, a tam już strażacy wynosili martwego dziadka na rękach...

– To musiało być straszne.

– Tak, babcia długo nie mogła się podnieść i mówiła mi, że właśnie to drzewo

pomogło jej się pozbierać, dawało jej dobre prądy, energię i spokój. Kiedy tu przychodziliśmy, zawsze obejmowała je i coś tam szeptała. Twierdziła, że drzewo ją słyszy i że odpowiada.

Justyna wstała, podeszła do drzewa i objęła je.

– Poczekaj, zrobię ci zdjęcie! – Krzyknął Maciek. Ona się uśmiechnęła. Po zdjęciu powróciła na ławkę.

– Bardzo kochałeś bacie?

– Tak.

– Jej odejście musiało być dla ciebie bardzo bolesne – Maciek pochylił głowę. Justyna objęła go i przytuliła. Siedzieli tak w milczeniu, po czym on poniósł głowę.

– Ko... – zaczął, ale Justyna przerwała mu pocałunkiem.

– Mam dla ciebie radosną wiadomość – powiedziała z tajemniczą miną. Spojrzała na nią pytającym wzrokiem – na prawdę? – Justyna lekko kiwnęła głową.

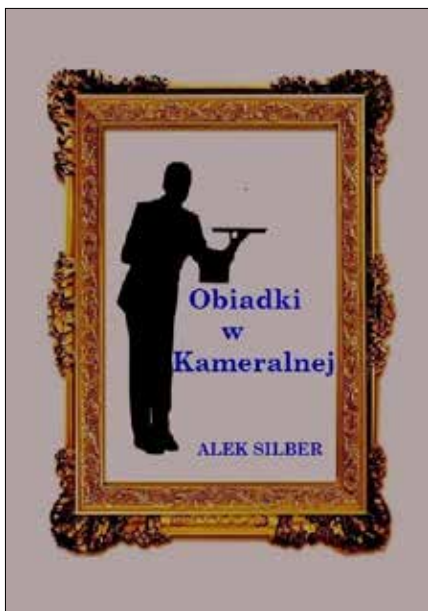
– Jak dawno?

– Już sześć tygodni. – Maciek podskoczył, podbiegł do drzewa i objął je z całej siły.

## Pocztówka z Warszawy

ALEK SILBER

Rozkopana ulica. Powietrze wypełnia głośny dźwięk koparki i pneumatycznego młota. Mimo mega decybeli góruje nad nimi wymiana uwag asystujących pracowników. Ich bogactwo języka mogłoby zachwycić lingwistę, gdyby nie dominujące wulgaryzmy.



Pył i kurz dopełniają chmurność dnia. Ludzie też jacyś zakurzeni, nie wszyscy, ale wielu.

Ot, tu idzie czarnoskóry młodzieniec. Nie z jakiejś tam Afryki, ale miejscowy, tutejszy, a skóra jest czarna od tatuaży. Za rękę trzyma dziewczynę, chyba dziewczynę, trudno wyczuć. Z podartych spodni wyglądają na świat barwne kolana. Też wytatuowane. Coś mówi, ale w mówieniu przeszkadza jej kolczyk. W języku. Pewnie, gdyby wysunęła język do góry, dotknęłaby drugi kolczyk zwisający z nosa.

Chwiejnym krokiem podchodzi do nich zmięty człowieczek. Zmięty od podartych łapci aż po kokardę. Prosi o pomoc. Finansową. Młodzi wahają się. Dziewczyna sięga ręką do torebki, ale w portfelu nie znajduje drobnych. Zmięty człowieczek zaczyna kolejnego przechodnia. Elegancka dziewczyna omija go nonszalancko.

Nagle zza chmury wychyla się słońce. W tej samej chwili wyłania się z pyłu mała, barwna kula. Jej tęczone kolory migają setką blasków. Po chwili obok niej pojawia się druga kula, za nią trzecia. Rozkwitają jak płatki róży i gasną niczym iskierki. I oto nagle płyną falą kolorowego potoku. Rodzą się i rozplływają w bajecznym korowodzie.

Dopiero po czasie słyhać dziewczęcy śmiech. Początkowo nieśmiały jakby za-

żenowany. Potem coraz głośniejszy, czysty w swojej dziecięcej niewinności. Dziewczynka sięga rączką do małego naczynia, wyciąga „wydmuszkę” i nadyma policzki. W górę unoszą się mydlane bańki i nieustający śmiech dziewczynki. I oto nagle niedawno pokryta kurzem ulica jaśnieje barwami tęczy. A dziewczynka nie przestaje się śmiać.



### Spotkanie z autorem „Obiadki w Kameralnej”

W dniu 11 w restauracji Kameralna w Warszawie odbyło się spotkanie z Alkiem Silberem poświęcone promocji jego najnowszej książki pt. „Obiadki w Kameralnej”. Książkę przedstawił Tadeusz Nowakowski.

Redakcja „Sceny Polskiej” gratuluje autorowi i czeka na kolejne spotkanie z czytelnikami w Holandii!

# The Voice of Polonia 2024

## CEZARIUSZ GADZINA

Czujesz, że urodziłeś się z mikrofonem w ręce, a nie miałeś jeszcze okazji tego udowodnić? A może przeciwnie, masz już pierwsze sukcesy za sobą i szukasz kolejnych doświadczeń? Zakochałeś się w polskiej piosence na wakacjach? A może – gdy ogarnie Cię nostalgia – wyciągasz z półki swoją ulubioną płytę z czasów młodości, z którą związanych jest tyle wspomnień? Mówisz dobrze po polsku chociaż w Polsce nie mieszkasz? A może tylko fascynuje Cię ten „szeleszczący” język?

Jeśli chociaż na jedno z tych pytań Twoja odpowiedź brzmi „tak” konkurs wokalny „The Voice of Polonia” jest dla Ciebie. W tym roku ogłaszamy piątą edycję międzynarodowego konkursu polskiej piosenki, która zarazem jest edycją rocznicową 10-cio lecia istnienia naszego konkursu. Partnerem The Voice of Polonia jest TVP Polonia

Do 30 września nadeślij swoje dwa nagrania i wypełnij formularz zgłoszeniowy, który znajduje się na naszej stronie internetowej [www.thevoiceofpolonia.eu](http://www.thevoiceofpolonia.eu) Spośród zgłoszonych kandydatur profesjonalne jury wybierze ósemkę wokalistów. Potem wielki finał w Brukseli 10-go listopada 2024 roku w którym do jury dołączy gwiazda polskiej muzyki rozrywkowej. W poprzednich edycjach Konkursu byli Marek Piekarczyk,



Finał konkursu – edycja 2023

Fot. Strona internetowa organizatora

Anna Maria Jopek, Maria Sadowska oraz Janusz Radek. Kto przyjedzie w tym roku – pozostaje na razie tajemnicą... Przewidziane są również nagrody w postaci promocji radiowo telewizyjnej finalistów, jak również umieszczenie nagrań zwycięzcy na kompilacyjnej płycie CD przygotowywanej z okazji jubileuszu konkursu jak również udział w trasie koncertowej obejmującej

Holandię, Niemcy i Włochy. The Voice of Polonia jest produkcją Fundacji TAK-Temat Aktualny Kultura a współfinansowany z programu Senat-Polonia 2024. The Voice of Polonia wspiera również Stowarzyszenie Artystów Wykonawców SAWP, które przyznaje nagrodę dla zwycięzcy w wysokości 1000 €. Jest więc o co walczyć. A zatem do usłyszenia... ■

**Światowy Zlot Młodzieży Polskiej z Kraju i z Zagranicy**  
**Monte Cassino, 8 - 11 października 2024**

[www.odnswp.pl](http://www.odnswp.pl)



the  
voice  
of  
polonia



**TAK**  
TEMAT AKTUALNY KULTURA



SENAT  
RZECZYPOSPOLITEJ  
POLSKI

[www.thevoiceofpolonia.eu](http://www.thevoiceofpolonia.eu)





# 49. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH

GOYŃIA 23-28.09.2024